



Ja i Ojczyzna

◆ MCMIV. ◆

Fuk Leow

KORDOLENS.
JA I OJCZYŻNA.

STANISŁAWÓW * SKŁAD GŁÓWNY
W KSIĘGARNI POD FIRMĄ W. DOBOSZYŃSKI.
MCMIV.



**INSTYTUT
BADAŃ LITERACKICH PAN**
Biblioteka
ul. Nowy Świat Nr 72
00-000 Warszawa
Tel. 26-68-63, 26-52-31 w. 42

Z Drukarni J. Dankiewicza w Stanisławowie.

793

<http://rcin.org.pl>

JA I OJCZYŻNA.

„A śpiącym trupio bądź przebudzeń gromem!”

Krasiński.

„Gdzie była praca i kuźnia nowych myśli —
nie było was!”

Słowacki.

JA I OLGZYNA





I.

Z wesółych strun najdzikszą trącam strunę:
Z piersi, bolem starganej, śmiech dobędę
I patrząc w coraz krwawszą waśni łunę,
Przytlumię przeczuć lęk — i śmiać się będę!
Nadzieję zetrę w proch — i w proch ten plunę!
Lecz niech nie godzą w śpiewaka-przybędę
Gromy, gdy kogo strzałą słów zadrasnę,
Wprzód przepuszczoną wskrósź przez serce własne.

O! nie złorzeczcie wy mi, krótkowidze,
Gdy wam dusz waszych kalectwa odślonię,
Błazeńskie stroje zedrę i wyszydę,
Połamię wasze papierowe bronie.
Którymi walcząc przeciw czartów lidze,
Kryjcie serca w ciemnym trwogi dzwonie.
Biczem was śmiechu z gnuśnych nor wyżenę
I na śmiertelnych walk cisnę arenę.

Bo chcę nasycić wzrok grą widowiska,
Jakiem się niegdyś sycił tyran Nero,
Na strachem białe twarze patrząc z bliska
Wprzód, zanim trupów siności nabiera,
Na krew, co z nagich, omdlałych ciał tryska,
Gdy w tan z tygrysem pójdą lub panterą,
Ciche i święte tą cnotą jedyną,
Że nie umiejąc żyć, bez skargi giną.

Bo chcę zobaczyć jak się wali drzewo
Martwe, robactwem pasożytnem żywe,
Pod nienawiści pioruną ulewą
Padając z trzaskiem na rodzinną niwę.
Chcę widzieć chore żółtych liści plewą
Konary, wieków żywotem sędziwe,
Burzami z własnej gleby wyłamane,
Rzucone o głaz serc — i zdruzgotane!

A potem widzieć chcę jak z tych rozłamów
Robactwa rój wysypie się bezładnie
I pocznie wciskać się do obcych domów,
Gdzie na nich stopa bezlitosna spadnie...
Dalej już sobie sam tę zwrotek domów,
Mój czytelniku, który w sercu na dnie
Chowasz nietknięte nigdy — ach! — pytanie:
Co się z narodem naszym biednym stanie?

Co się z nim stanie? — To, co stać się musi,
Co i dziś dzieje się niespostrzeżenie:
Oto pochłania go żołądek strusi,
Zdolny najtwardsze przetrwać kamienie.
Trójca pajaków żarłocznych go dusi,
Powoli ssąc zeń krwawe pożywienie.
Szczerby nie widać — naród się nie zmniejsza,
Ale pierś jego coraz jest puściejsza!

Ale w nim coraz bledsze krążą soki,
Coraz powolniej bije słabe tętno.
Nie trzeba wierzyć w cuda ni w proroki,
Aby tę przyszłość zapowiedzieć smętną,
Gdy w kraju naszym jak długi, szeroki,
Odszukasz tylko dawne polskie piętno
Pod wiekiem trumny, lub carskim kaszkietem.
Patrz — i nadzieja wolności na tle tem!

Widzisz jak mówię o tej gorzkiej doli
Bez łzy, bez żalu, z uśmiechem na wardze;
Bo mnie już nic w dzisiejszym dniu nie boli,
Bom czułość zabił, kiedym w niemej skardze
Klął świat, mordercę mojej świętej woli.
A dziś ja wszystkiem, całym światem gardzę.
Idę w grób — drogę toruje szyderstwo,
Wilczy apetyt mam i cerę czerstwą.

Lecz nim odejdę — ha! nim się spopieleł,
Lodowym śmierci przepalony żarem,
Zostawię imię swe we wielkiem dziele!
Bo mi beczynność straszny jest ciężarem,
A duch potężny mój gromów ma wiele!
Zmierzy się z bóstwem martwych zasad starem
I w gruz rozbije dawnych lat budowę:
Niech zginie stare życie — wstanie nowe!

Mniejsza, ile serc pęknie w tej poźodze,
Ile się mózgów o ten grób roztrzaska,
W którym fałszywi legną ludu wodze,
Ale z dusz silnych spadnie złudzeń maska,
Ale wzrok orłów z bielma oswobodzę,
Wzrok, który chytrą oślepiła płaska.
Ręka ma kłamstw mu zasłonę odwinie
I pokaże mu nie raj — lecz pustynię!

Pustynię dzikszą niżli ta, przez którą
Wiódł wielki prorok Izraela rzesze.
Im Bóg rozorał drogę mórz wichurą,
Nam wichry piersi porzą jak lemiesz.
Ich Bóg prowadził w noc ognistą chmurą,
A nam w dzień słońce chmurne błyski krzesze,
Ich łą karmiła rosa w ranne świty
Nam wróg wydziera chleb — męką zdobyty!

A gdy czerwone nadbiegły upały,
Do płuc wyschniętych sypiąc iskier krocie,
To ich poły swoją piersią — skały!
A do czoł naszych, wysilonych w pocie,
Ogniste żmij języki przypadały,
Każdą perełkę, zrodzoną w tęsknocie,
Zlizując ostrzem palącego grotu,
Aby nam warg nie zwilżył — piołun potu!

Więc czoła nasze dziś — to jak łupina,
W której się wyschła, wielka myśl kołata.
A myśl ta straszną jest martwością sina
I poza zwątpień szkielet nie wylata,
Lecz tam się kończy, gdzie życie zaczyna;
A taką jest niemocą lodowata,
Że i najśmielsze duchy poprzeraza!
Że i najświętsze żary serc — zamraza!

Ta myśl nam niby gwiazdą jest przewodnią.
Dokąd nas ona do dziś dnia zawiodła?
Ilu pielgrzymów skupionych jest pod nią
I jakie oni mają wspólne godła?
Stójcie! oświecę wam twarze pochodnią,
Której mi smolna pożyczyla jodła,
Bo gwiazda wasza jakoś dziwnie błada
I niewidoczna w niej wasza gromada.

Podnoszę smolne nad wami łuczywo . . .

Na ziemię krwawe leją się odblaski . . .

Szukam wokoło oczyma . . . O dziwo!

Wokoło tylko piaski, ciche piaski.

Wszakżeż ta droga zda mi się prawdziwą;

Tu już radosne powinny grzmieć wrzaski,

Bo stąd cudowny kraj już niedaleko,

Bo tu już nie dmą wichry taką spieką.

Tu już powinna po wieków pochodzie

Zawinąć smutna ludu karawana

Z wielkim, wszechwładnym prorokiem na przodzie

I żwir pod nagie rzuciwszy kolana,

Wzrok wmodlić w ciemne błękity na wschodzie

I klęcząc czekać, aż zorzą świetlana

Drgnie i różowe ognie swe rozwinie

I lud obleje krwią — w wolnej krainie!

Majaczę! Duch mój zanadto jest chyży,

Pędzi mię próżno karconą tęsknotą

W świat snów, daleki od „mogił i krzyży“.

Ja lecę naprzód jak wicher, a oto

Nie myślę nawet, że się wnet nie zbliży

Do granic puszczy, kto idzie piechotą

I kto tysiączne zatacza wykręty,

By snąć o kamień nie obraził pięty!

A skutek owych kołowań jest taki,

Że ci, co mieli wyjść z domu niewoli

I dążyć prosto jak przelotne ptaki,

W dal wyciężony mając wzrok sokoli,

Cieszą się życiem jak bezmyślne żaki,

Na wzniosłych haseł jadąc karuzoli!

Głupi! Nie wiedzą jak się w skarb obławia,

Kto karuzelę polską wydzierżawia.

Nic to! Szalejmy! W wir serca! w wir myśli!

W wir piaski puszczy! Wstańcie huragany!
Lepiej wam rzucić się w objęcia, niśli

Bój z wami toczyć — ach, o świt różany!
Niewolą woli myślny niezawiśli

I łańcuch zgody z dusz naszych zerwany.

Oto swe ciała i duchy niewieście

Rzucamy... Wstańcie huragany, nieście!

Nieście gdziekolwiek wam się nieść podoba,

Gdziebądź! Na północ, zachód, w dół lub w górę;
A niech was nasza nie brzydzi choroba:

Te wrzody, w żółtą powadzaną skórę,
Co jak rubiny, królów czół ozdoba,

W złotej koronie blaskiem drżą — ponure.

Nieście nas w górę, bo tam gdzie zatrata,

Myślny koroną i ozdobą świata!

A potem z wyżyn tych i z tego tronu,

Skąd wszystkie ludy ziemi nas zobaczą

I gdzie nam poszlą śmiech: pogardę zgonu,

Strąćcie nas na dół, zabitych rozpaczą

I hołd trupiego przyjąwszy pokłonu,

Piaskiem zasypcie mogiłę żebraczą.

Z pustyni świata zniknie w snach widziana

Polska i polski rząd — fata morgana!

O! nie złorzeczcie mi faryzeusze,

Którzy o jasnej przyszłości szczekacie,

W nikczemnych żądach topiąc czarne dusze.

Na waszym arcykapłańskim ornacie,

Kupionym za krew ludu, ja pokruszę

Berła, któremi królujecie chacie.

Lepiej, by usnął lud w mogilnym mule,

Niżby nim mieli tacy władać króle:

Króle-lokaje, władcy-niewolniki...

Bacność! bo teraz podnoszę kurtynę.
Widzom przedstawi się krajobraz dziki:
Na roli tłumi krwawe, chude, sine,
W których bez przerwy jęczą smutne krzyki,
Nad nimi władcy. Gdy z szat je rozwinę,
Z pod lśniących purpur błysnie nagie żebro:
Miast serca — żmija, zamiast mózgu — srebro.

Nad nimi pięść i głowa barbarzyńca.

Twarz tę wykrzywia strasznie śmiech szyderycy,
A pięść po czaszkach srebrnych tańczy młyńca
I która z nich zanadto w górę sterczy,
To grzmotnie w nią... Choć nie nabije sińca,
Gdyż kość nieczuła jest na cios morderczy,
To jednak zadrży, kiwnie się bezwładnie,
Nie zgrzytnie nawet czerep ten — i spadnie.

Lecz jeśli która z nich zgięta, schylona,

Zda się nad dobrem kraju przemyśliwa,
Myśli i myśli jakby lud, co kona,
Do niesianego doprowadzić żniwa,
O! taka głowa trzykroć uwielbiona,
Po trzykroć święta, po trzykroć szczęśliwa:
Szczęściem swem własnem, szczęściem swoich dzieci
I szczęściem pięści, która nad nią świeci.

Takich głów świętych mamy ach! bez liku.

Bo jest nasz świecznik dziś tysiącramienny
I tysiąc jarzy się świec w tym świeczniku,
A jednak lud ogarnia mrok bezdenny,
A jednak plemię dąży do zaniku.

Bo jest ten świecznik jeszcze czemś znamienny:
Im świeca w wyższem ramieniu lichtarnem,
Tem płomień bardziej żółty — na tle czarnem.

Palą się światła przed kim i dla kogo?
Mnie się wydaje — nad trumną narodu!
Bo trudno wierzyć, że wstać jeszcze mogą
Te członki, pełne cuchnącego wrzodu.
O śnij narodzie! śnij wiecznie, śnij błogo,
Śnij, jakieś hordy ujarzmił za młodu,
A dziś w trzech trumnach, w każdej trzecią częścią
I u wezgłowia nie z krzyżem — lecz z pięścią!

Palą się światła przed kim? — Przed potworem!
Przed złotym cielcem pychy i bezprawia.
Palą się światła w dzień, w noc i wieczorem
I tak się polska дума zmarnotrawia!
Może niejasno mówię? — Służę wzorem,
Który niech każdy przed oczy swe stawia,
Kto posłannictwo pragnie apostołskie
Spełnić jak Judasz lub jak — „Kóło polskie“.

Mój czytelniku, czyś ty słyszał o tem,
Czy doszło uszu twych piękne podanie,
Że gdy się wóz nasz roztrzaskał z łoskotem
Na arnat w dymie ukrytym parkanie,
Zostało *kóło* podtrzymane płotem
I dzisiaj służy za gniazdo bocianie.
Dziś siedzą na niem te żarłoczne draby
We fraku czarnym — no i jedzą żaby.

Słyszałem także, że to kóło miele
Jak młyn na mąkę wszystko, co kraj wyda.
Być może, młyn ten dawał niegdyś wiele,
Może — wyznawcy boga Światowida,
Pobożne Piasty, okrutne Popiele
Stały tam płony swoje miast do żyda.
Lecz dziś zepsuty jest już młyn i cichy,
Oś zardzewiała ma i z próchna szprychy.

Dzisiaj chwast na tym szkielecie wyrasta
I grzyby na nim siedzą zaśnieżone.
Chcesz go poruszyć — zatnie się i basta.
Prędeżybsz z gruntu wydarł jaką skalę.
A gdy od miasta płynie jęk do miasta
I w *Koło* rzuci bolów swych nawałę,
Ono o Piaście rojąc i Rzepichnie,
Wzdrygnie się jeno, skrzypnie — i ucichnie.

A mówią jeszcze, że to jest nasz patron,
Mający setne argusowe ślepia
I w kraju wielką miłość — wszystkich matron;
Że oczy swoje w mrok ojczysty wlepia,
A potem w łzach podnosi je aż na tron,
A bóg-rząd w życie każdą prośbę wszczepia.
I to być może, cóż gdy ów bóg szelma
Na wszystkie oczy jego rzucił bielma.

Cześć im! Zaszczycam ich wielkim orderem:
Milczeniem . . . Więcej o nich już nie wspomnę,
Choć mam ochotę wyrzec sercem szczerem,
Że winno być to *Koło* wiarołomne
Narodowego wulkanu kraterem,
Wyrzucającym płomienie ogromne,
Palić lawą słów i grzmieć gniewu grzmotem
I topić głazy . . . Dość! Zamilczmy o tem.

Hej! w kraj mój teraz poszlę myśli ręce
I wszystkich wodzów ukrytych wyłowię
I gęste intryg porozrywam pnącze,
Płazy na ostrej rozniosę podkowie
Pegaza mego, co w głogach się płącze,
W trzęsawisk zdradne wciska się sitowie
I toczy krwawą, wściekłych szyderstw pianę . . .
Pocóż? Wszak światy marzeń mam świetlane.

Tam mogę bujać na skrzydłach obłoku
I patrzeć w przestrzeń pustą, bezgraniczną
I prosić gwiazdy leżką, lśniącą w oku,
Żeby mi drogę wskazały wytyczną
W milczących niebios tajemniczym mroku
I wzywać śmierci postać anemiczną,
Niech mię srebrnymi ramiony oplecie
I oprowadzi mię — po tamtym świetle.

Tam mogę w mgłach rozwieszać tęsknot tęcze,
Bolesną wieńczyć skroń w błyskawic wianki
I smętne myśli snuć w przędze pajęczce
I gromem głuchych słów pytać kochanki,
Czy wszystkie słyszą jak z miłości — jęczę!
A potem zlecieć na dół i ze szklanki
Łyknąwszy znaczną dozę alkoholu,
Znów wznieść się w błękit, pełen gwiazd — i bólu!

O wy poeci! Marne, słabe duchy,
Wciąż wzdychające do śmierci — Nirwany
I otulone w przeczuleń pieluchy.
Much ukąszenia to już u was rany,
A deszcz i chłodne w chmurne dni podmuchy
To dla was burze straszne i orkany,
Zdolne zdruzgotać was i rzucić w trumnę,
Strojąc w czar śmierci wasze czoła dumne.

Lecz gdyby pierś wam rozciął kto jak różę
I na kowadło zimne, twarde, lśniące
Wyrzucił serce z was, wrośnięte w górze
Tętnicą w łono, serce wasze drżące,
Żywe i podniósł nagle młot...! Ha, tchórze!
Młot na żelazo próżne i dźwięczące
Spadłby, bo serce pierwiejby wam pękło
I obryzgałoby wam twarz — wylekłą!

O wy poeci, niegdyś tacy możni,
Wy niegdyś władcy nad niebem i ziemią,
Dziś tacy wstrętni, bezsilni i trwożni
Jak widma, które w dzień w cmentarzach drzemią,
A nocą jęcząc rozpaczliwie: „dorżnij!”
Błądzą po ziemi i zatrutym tchem ją
Syca . . . A wkoło echa wiary głuchną
I ziemia zwolna przemienia się w próchno.

„Smutno mi Boże!” — tak wieszcz grał na lutni.
Dawno to było, lat nie pomnę ile.
Ach! ale dzisiaj nam jest stokroć smutniej,
Stokroć nas gnębią rozpaczliwsze chwile,
Pełne podłości, kainowych kłótni.
To mię rozżala — o! łzy krokodyle,
Ciężkie jak żywe srebro duch wylewa:
Biorę ton mol. Słuchajcie: rozpacz śpiewa!

Smutno nam Boże jak tym, którzy giną!
Pod naszem niebem mgły posępne wiszą
I nie przechodzą nad nami, nie płyną,
Ale nas gniotą straszną, martwą ciszą
Jak trumną wielką, ołowianą, siną . . .
Jesteśmy jak ci, co śpiąc w grobie — słyszą.
I nie wierzymy już dziś w żadne zorze,
Już nie wierzymy w nic . . . Smutno nam Boże!

Wkoło nas życie radosne się krzewi
I wichry swobód płyną kwietną falą,
A my pod cieniem północnych modrzewi,
Które nam łona tną korzeni stałą
I ciągną w siebie soki naszych trzewi,
Konamy . . . Choć się w wichrach trony wałą,
W nas sił już nie ma, nas już nic nie może
Z żalobnych dźwignąć mar . . . Smutno nam Boże!

Jest powiedziane w świętych księgach wiary,
Że kto się stoczy w grób, ten zmartwychwstanie,
Że śmierć jest tylko chwilą strasznej kary!
O! karą nie jest nam grobu postanie,
Nas boli tylko to, że nasze mary
Owiewa czasem jakichś jęków łkanie . . .
Więc że nam wstrząsasz ciche śmierci łoże
Jękiem, zrodzonym w śnie — smutno nam Boże!

Podparte sztywnym i złamanym duchem
Ciało nam zwisło jak liść, skwarem święty.
I duch już nie ma władzy nad tem suchem
Sianem, gdzie nerwów poczerniałe pręty
Drżą jeszcze iskier łaskotliwym ruchem
Jak zgliszczą . . . smutne bohaterów szczęty.
Próżno więc, próżno w przeszłości upiorze
Rozniecać życia żar . . . Smutno nam, Boże!

Lecz my już czegoż życia nie pragniemy.
My dziś wołamy tylko: skróć katusze!
Bo są okropną męką te podziemy,
Gdzie w kośćcach ludzkich śpią pokutne dusze,
Gdzie mrok nad nami płacze stęchły, niemy
I czasem sykiem skarg zaszemrzą głusze.
Więc że świadomość mamy w tej pokorze
I w upodleniu tem — smutno nam Boże!

Jedna nam tylko dziś otwarta droga
I jedna cierpień chwila krótkotrwała.
Nie w narodzeniu powtórnem przez Boga,
Bo Bóstwa moc już dawno w nas skołała,
I nie w szaleńczem kaleczeniu wroga,
Lecz przez skon myśli w samobójstwie ciała!
Nie klnij! Wskaż lepszą drogę, daj pchodnię,
A pójde pierwszy nią przez krew i zbrodnię!

Podaj pewniejszy środek uleczalny,
Nie wdzierający się w mózg jak grot tępy
I tak zwodniczy i niewykonalny:
„Nadzieją w wolność wieść trupie zastępy.“
Zbuduj mi *wiarę* na opoce skalnej,
A dam się cały potargać na strzępy,
By przez męczeństwo me — nie tantalowe! —
Wstąpiło w tę świątynię życie nowe.

Lecz pocóż dawać na krzyż wbijać dłonie,
Lub rękę trzymać jak ten słup przydrożny,
Ze wskazującym palcem w nieboskłonie,
Gdy dzisiaj tłum zgłupiały i bezbożny,
Po szyję w żądzę samolubnej tonie,
Gdy w patryotyźmie każdy dziś ostrożny,
Gotów zaprzedać i serce i ducha
Za płatną godność szpiega lub eunucha.

Hola! Myśl moja krzywy ścieg zatacza
Jak ostrze wolno puszczonego pługą,
Nie kierowane uwagą oracza.
Nie jest to widać wina lub zasługa
Człowieka, jeśli namiętność śpiewacza
Błyskawicami grzmi, lub gwiazdą mruga,
Leje woń róż, lub truje tchem zarazy:
Wszystko to wyższych sił tajne rozkazy.

Opuszczę teraz ziemskich szalów piekło,
Gdzie duch zstępuje mój jak na pokutę,
By toczyć bój z podłości hydrą wściekłą
I wnijdę w światy własne, w sny osnute,
Aby tam serce z krwawych łez ociekło,
Aby nastroić myśl na tęskną nutę,
Zmęczoną pierś odświeżyć tchem wieczności
I wierzyć! — wierzyć tak jak ludzie prości.

Czy znasz ty cuda tych czarownych krain,
Kędy się smętne, ciche cienie włością,
Kędy wśród wonnych, mirtowych zagaj
W letejskich falach dusze rany płóczą,
Gdzie niema wstępu żaden gad, ni Kain,
Gdzie szczęścia nikt nie mąci pieśnią kruczą,
Ale na całym światów tych przestworze
Płoną różowe, blade złudzeń zorze?

Tam ja uchodzę zawsze, tam się kryję,
Gdy hyen wycia z ziemi mię wypędzą,
Gdy mię zjadliwe pokąsają żmije,
Lub oczy się rozlżawiają ludzką nędzą.
Tam nie dosięgną mnie jęki niczyje,
Tam złotą uczuć osnuwam się przedzą
I wszystko serce tam ma, czego pragnie,
A czego próżno szukać w ziemskim bagnie.

Sam z sobą jestem tam, więc się nie trwożę,
By mi ktoś zburzył świętokradzką dłońią
Stawianie w błękit cichy — domy boże:
Na fundamencie serca sny się płonią
Jak rubinowe cegły; w ócz otworze
Srebrzyste dzwony łez pokorą dzwonią,
A gdzieś u marzeń szczytu szczero-złoty,
Gwiazd sięgający, błyszczący krzyż tęsknoty.

W tę to świątynię schodzi Bóg — moc mocy!
Drzę, kiedy czuję, że wszedł i jest we mnie
Jak płomieniste słońce w łonie nocy.
Drzę, gdy przenika mię sobą tajemnie
I tak ogarnia, żem jest jak prorocy,
Zanurzający wzrok w przyszłości ciemnie
I taką władni nad duszami władzą,
Że kędy zechcą — tam lud poprowadzą.

A gdy się Bogiem cały tak przebóstwie,
Na światy ze mnie moc wielka wybucha
I lecą palne słowa w iskier mnóstwie.
Gdy wtedy wołać pocznę, niech lud słucha,
Niech Bogu wierzy, choć to z moich ust wie,
Bo wtedy idzie błysk nie z mego ducha,
Lecz z tego jądra i z tego ogniska,
Gdzie z pyłu wstał świat i w pył się rozpryska.

Bom wtedy środkiem i ogniskiem świata!
I wszystkie słońca biorę na swe wodze,
A żadne w dal odemnie nie odlata,
Ale okrąża mię w świetlistej drodze.
I żadna mnie nie męczy sił utrata,
Choć w milion słońc swą mocą się rozchodzę.
Im szybszy wir, im bardziej mię rozrywa,
Tem stalsza we mnie skupia się moc żywa.

I każdą czuję w promieniach tej siły
Najmniejszą bryłkę, niewidzialny pyłek,
Tak jak i czuję byt największej bryły.
Bo czucie me jest kształt drobniutkich żyłek,
Które się w cały wszechświat wpromieniły,
Roznosząc wszędy ożywczy posiłek
I wiodąc w serce każdy martwy atom,
Aby go wskrziesić i powrócić światom.

Więc życiem jestem i śmiercią zarazem.
Życiem, bo wszystko w ruch odwieczny pędzę
Najtajemniejszym woli mej rozkazem;
Śmiercią, bo jestem w wszechmocnej potędze
Nieporuszonym i niezmiennym głazem.
Światłością jestem, bo ze siebie przedzę
Płomienne wszystkich słońc i gwiazd mgławice
I sycę sobą mrok — więc siebie sycę.

I ciszą jestem bez drgnień i bez echa,
Ciszą, zastygłą w bezmyślnej zadumie,
Choć tyle we mnie gromów się rozśmiecha,
Choć tyle jęków wyje w stworzeń tłumie
I świstem wichrów tyle gwiazd oddecha . . .
Ciszą ja jestem i milczeniem szumię.
Lecz choć bezzuciem martwy i bezdźwiękiem,
Jam jest i bolem bólów — jęków jękiem!

Granic ja nie mam, chociaż sama przez się
Drobina każda we mnie jest granicą.
I choć me łono wszystkie wieki wessie,
Czasy mnie żadne w swój kształt nie uchwycą,
Ani poruszą mię wołaniem: „wznies się!”
Duchy, idące wzwyż tęsknot łzawicą:
Bom dnem i szczytem i środkiem otchłani,
Gdzie źli anieli są — dobrzy szatani.

Nie być nie mogę, więc jestem, bo muszę,
Ale choć wiem i czuję, żem wszechbytem,
Czuję sam w sobie pustkę, śmierć i głuszę
I to, co sobą zwę, co zwę błękitem,
Co mi wypełnia i ciało i duszę,
Nie jest ni duszą, ani ciałem litem.
Jam jest czemś znanem i czemś tajemniczem:
Bogiem ja jestem — więc wszystkim i niczem!

II.

Tchu mi zabrakło tak lecę i lecę,
Błędnemu sercu szukając oparcia,
A słowa płyną jako fale w rzece,
A potem pędzą jako zgraja charcia,
A potem wichrem mkną w zagony kmiece,
Wkońcu ten wicher w grom się pychy wczarcia
I bije w niebo! — ale błękit milczy
I taki siny jest jak trup opilczy.

Oazy cichej! Niech choć chwilkę spoczne!
Niechaj zapomnę o sobie, o świecie,
I niech mi tylko będą w snach widoczne
Te jasne twarze i wdzięk, który chce cię
Jakby w omdlenie pogrążyć półmroczone
I złoty, zda się, deszcz na ciebie miecie,
Że pod tym deszczem drżą zachwytem nerwy,
Że pragnąłbyś tak żyć i żyć bez przerwy.

O, niechaj duch mój choć jedną minutą
Splonie w tej czystej, wysnionej rozkoszy,
Niech się miłością upoi przeczutą,
Zanim go życie krzykiem zgrozy sploszy,
Złorzeczeń krwawą ocuci go nutą,
Zanim go z wyżyn ściągnie świat macoszy
I w swoje brudne strąci go odmęty,
Ten pieszczotliwy świat — a tak przeklęty!

Bo żem pieszczochem świata, to nie żarty.
Klnę się Wenerą! Kłamię? Więc nie wierzcie.
Na dowód jednak pokażę rozdarty
List, napisany do mnie w Budapeszcie.
Ogromnie czuły list, nawet otwarty
I bez okrzyku „Drogi!“ — dodam wreszcie,
Że list, co dziś mi jeszcze włos pobieła,
Nie od kochanki był — lecz przyjaciela.

Tak, nie ukrywam; miałem towarzysza
I to miłszego mi niż życie własne,
A taka przeszła mię naiwność mnisza,
Żem patrzył w niego jak w zjawisko jasne,
Żem tęsknił doń. Bywało — północ, cisza,
Ja myślę o nim, żegnam go, nim zasną,
Śnię, żem go stracił, więc krzyczę boleśnie,
A on się zjawia, całując mię — we śnie.

Jemu jam tylko zwierzał wzniosłe cele,
Alem wnet spostrzegł, że go zachwył nuży,
Przeto smutniejac, mówiłem niewiele.
Aż oto przysłał mi, bawiac w podróży,
List — z pożegnaniem! ot, i przyjaciele!
Wstyd mi! nie mogę myśleć o tem dłużej.
Przebaczcie mi, bo kiedym w te przepaście
Zawodu runął, miałem lat — piętnaście!

To była pierwsza miłość i jedyna,
To pierwsza była ze światem przegrana.
Odtąd choć serce się od trosk ugina,
Przed nikim w prochu nie leżą kolana,
Nigdy nie skarży się duch — lecz przeklina!
A gdy się śmieje — to śmiechem szatana!
A kiedy co go zakrwawi, zaboli . . .
Milcz! W kielich cierpień kroplę dumy dolej!

Darzył mię innym jeszcze świat ten darem:
Sercem kobiecem . . . Cudowna idylla!
Pierś moja wówczas płonęła pożarem
Owej tęsknoty, co młodość przesila
Ostatnim błyskiem złud w tem życiu szarem.
A jej na imię było — ach, Maryla!
A taka piękna, że ją brać w cudzysłów,
Żem dla niej omal znów nie stracił zmysłów.

Kiedym raz siedział tak wieczorem przy niej,
Kwiaty wonią — i zcicha gaj szeleści,
Mieni się błękit coraz bledziej, siniej . . .
Nagle się wielki zrywa płacz niewieści
I na swej piersi czuję ją! . . . Ten czyn jej,
Tak pełen szczęścia razem i boleści,
W lot mię zamienił w całujący płomień,
Drżącego tak jak liść od oszołomień!

Prosiła mię, bym jej uczucia swoje
Posłał na piśmie, oprawione w rymy.
Więc kiedym w ciche powrócił pokoje
I gdym zapalił świecę, patrząc w dymy,
Co nad płomieniem czarne snuły zwoje,
Sięgnąłem w serca głąb . . . Tę głąb widzimy
Jedynie wtedy, gdy jesteśmy sami
I gdy tej toni nikt nie maści — łzami.

I nagle wstrząsnął mną śmiech tak szalony,
Aż światło znikło gdzieś w tej zawierusze,
A potem chwiało się na wszystkie strony
Jak przy rydwanach śmierci — pióropusze.
I zanim mogłem dla swej utęsknionej
Na łańcuch wierszy schwytać moją duszę,
Długo czekałem na spokojną chwilę.
Potem zacząłem pisać i tak kwilę:

»Spełniam życzenie. Ale przedewszystkiem
Wspomnę o prawach pieśniarza-słowika,
Byś się nad marnym tym nie mściła świstkiem,
Gdy on ci powie „ty“ — wszak to wynika
Z władzy, co jest najmiłszym lauru listkiem,
Zowiączęm się „*licentia poetica*“.
Więc się nie gniewaj, choć cię lekko kolną
Słowa moje: poetom wszystko wolno!

»Ranić cię jednak nie jest moim celem,
Choć śmiechem tylko żyję i ironią,
A kogo nazwę swym nieprzyjacielem,
Ten wie jak ostrą władam szyderstw bronią.
Dla ciebie nie chcę być ani Otellem,
Ani Erynią, z pełną węzów skronią,
Ale mieniącym się kameleonem
Raz światłem trupio-żółtem, raz czerwonym.

»O wstrętnej rzeczy powiadam: o trupie.
Ale to tak już: w mózgu u człowieka,
Który się zamknął w bólów swych skorupie,
Ani się skarży już, ani narzeka,
I tylko w świat wytrzeszcza oczy głupie,
Jakby odarte z trumiennego wieka,
W takim się mózgu myśl-gad mściwy rodzi
I w krew się wpija tych, co jeszcze młodzi.

»Przebóg, zawołasz, alboś ty nie młody?

Skąd rozpacz taka, gdzie pierzchnął sen wiary? —
Nie czas ukryte wyjawiać powody,

Nie czas wspomnieniem rozraniać wrzód stary.

Wierzę ja w rajskie, pośmiertne ogrody,

Wierzę ja w piekiel ohydne poczwary,
Co w świat wszczepiły zgniliznę zepsucia,
Ale nie wierzę — w szlachetność uczucia!

»I taki śmiech mię, taka litość zbiera,

Gdy widzę serce, jak żarem żądz płonie,
Jak się w szalonym pragnieniu otwiera

I coraz większą w siebie gorycz chłonie!

Choćbyś ty była jako kryształ szczerą,

A tak nęcąca jako jezior tonie,
Ja wiem, że serce to rozpaczą jęknie,
Skurczy się w strasznym zwątpieniu — i pęknie!

»Wracam do innych, weselszych tematów,

Bo mi już bolem dawnym biją tętna,
Bo już zaczynam łąnąć w mgłę zaświatów,

Kędy się zawsze chroni dusza chętna,
Gdy ją mordercza ściga dłoń piratów.

Nie! Roziskrzy się śmiechem mumia smętna
I takie sypną się słów fajerwerki,
Że wzrok ci błysnie jak kotom do szperki.

»Pomnisz jak z pierwszą poznania się chwilą

Czuje me oko zgłębiało cię skrycie?

Odtąd się zawsze myśli dumne chylą

Przed twoim wdziękiem w tajonym zachwycie,
Przed twego ducha posągim, Marylo!

Lecz gdym na samym stanął marzeń szczycie,
Rozglądał się... gdzie raj, com widział zrana?
Przedemną czarów szła — fata morgana!



»Bo taki jest już losów mych przywilej,
Ze gdy się wpatrzę w jaki obraz żywy,
Gdy o nim tylko marzyć mi najmilej
I żyć dla niego — przez niego szczęśliwy,
Upada grom i z krasy go motylej
Obdziera w lot, ów los, mój szatan mściwy.
Przywykłem już przewalczać takie noce,
A jednak, gdy się zbliża — krwią się pocę!

»Nie pragnę dociec jaki ciebie powód
Do tych poufnych ze mną rozmów skłania,
Ani się staram zajrzeć w twój rodowód,
Ani się lękam godziny rozstania.
Za szmerem słodkich słów biegnę jak do wód,
Do pociech źródła, strzałą ranna łania,
I pijąc z dłoni, która mi nie płoszy
Smutków, doznaję zapomnień rozkoszy!

»A teraz żegnam, bo mój wiersz niesforny
Już w jęk się łamie i łąką krzywdy szłocha,
Bo mi jak ojczym jest ten świat potworny
I ta przekłęta ziemia jak macocha . . .
Inaczej skończyłbym mój hymn wieczorny,
Lecz że mi brakło końcówki na *ocha*,
Ot pierwszy lepszy dam rym od niechcenia
I złączę z nim nadzieję: „do widzenia!“

Tak to ja drwiłem z tej świętej istoty,
Która mi chciała być aniołem stróżem
I ująć mię w przeczystych uczuć sploty,
Jak mię objęła ramieniem . . . więc jużem
Gotów był zbliżyć się na klęczkach do tej
Kapłanki szczęścia i być jej podnóżem,
Alem się wzdrygnął na myśl o przyszłości.
Więc odtrąciłem ją bez łyty litości!

Bo powiedz, jakżeż to wygląda później
Ten urok, nikły tak jak widmo tęczy,
Gdy się do życia ciemnej wejdzie kuźni,
Gdzie iskry krwawe syczą i stal jęczy,
Gdzie zlana potem warga losom bluźni,
Gdzie tyle wokół palących obręczy?
O powiedz, choć ci się zaciśnie szczęka,
Czy czujesz wtedy jak pierś twoja pęka?!

Powiedz, co warta jest ta rozkosz chwili,
To szczęście, które żaden cień nie plami,
Które nie w obcem sercu leży, czyli
W pulchnem jej łonie, lecz któreśmy sami
Z tęsknoty ducha wywiedli, wysnili
I własnej chęci przybrali blaskami?
Lada szmer — pierzcha jak gołąbka biała,
Pozostawiając brud i męki ciała.

A jednak kiedym jej śmiech rzucił w oczy,
Śmiech, różowiony krwią pękniętej krtani
I kiedym uczuł jak duch mój się toczy
Do czarnej jakiejś i pustej otchłani,
Kiedym pomyślał, żem ten sam dół smoczy
Otworzył ręką zbrodniczą i dla niej,
Nie, jam nie jęknął, przypominam sobie,
Alem spokojnie legł w odrętwień grobie.

... A kiedy znowu zbudziło mię życie
I kiedym przejrzał się we wspomnień toni,
Powstały dawne przez myśli odbicie
Widziadła, które duch tak chętnie goni;
Wśród nich Maryla — i czyż uwierzycie? —
Wygasłem sercem zatęskniłem do niej!
I ukochałem te wskrzeszone cienie
Miłością taką smutną — jak wspomnienie.

Odtąd w królestwie mojej wyobraźni,
Pośród tych cichych zalesień mirtowych,
Gdzie żadna mię już boleść nie rozdrażni,
Przebywam nie sam, ale wśród mar owych,
Które zjawiają się mi tem wyraźniej,
Im mniej ze świata płynie wrażeń nowych.
I wszystkie mi pragnienia zaspokoją,
A jam szczęśliwy samotnością moją!

Kocham i płaczę, ale tą łez strugą,
Która na samo dno duszy upada
Cichą i srebrną jak blask pełni smugą.
A dusza drżeniem smutku odpowiada
I snuje myśli nić żalobną, długą
I staje się zadumą rzewną bladą
I zapatrzona gdzieś w błękitne szlaki,
Jakby na tajne gwiazd czekając znaki.

Aż oto tam, za złotą gwiazd zasłoną,
W owym dalekim i błękitnym cieniu,
Kształty się jakieś niewyraźne wioną,
Rosną i płyną ku mnie w lekkim drżeniu ...
To ona! Z twarzą senną i zamgloną
Po księżycowym zstępuje promieniu
I staje przy mnie szałów mych ofiara,
Ten ukochany cień jej. — smętna mara!

„Marylo moja!“ — wołam, a głos ginie
I jako dym w milczeniu się rozwiewa.
I ani nie drgnie żaden kwiat w dolinie,
Ani mi szmerem odpowiedzą drzewa!
A kiedy spojrzę na moją boginię,
Ni się uśmiecha jej twarz, ani gniewa.
Przyszła — i lice odkrywszy zastygłe,
Wetknęła we mnie wzrok jak z lodu igłę.

A to spojrzenie jej — tu w oku mojem,
Ach! takie zimne i tak bezprzytomne
I tak idące w głąb duszy przebojem!
I takie dumne zarazem i skromne
I obłąkanym krzyczące spokojem:
„Zapomnij o mnie, bo ja nie zapomnę!“
Ach, to spojrzenie! — tu ukryłem w oku,
Jak promień słońca w posępnym obłoku.

Powoli żal do stóp jej sinych gnie mię,
A lzy jak krople z chmur miedzianej skroni
Padają chłodno w serce i na ziemię...
Ryknął szal — a już serce się nie broni,
Ale przyjmuje fal rosnących brzemię,
A fale miotą niem, jak łódką w toni,
Którą do dna zwichrzyła burza dzika,
Łódką bez steru już i bez sternika!

I przeleciała pierwsza nawałnica...
I cicho... Tylko jeszcze szemrzą strugi
Po wynurzonych myślach... Łódź-błądnica
Stanąła, drgnąwszy jeszcze raz i drugi...
Zapomnę! — ha! ognista błyskawica
Syknąwszy, pierś przebiegła jak wąż długi.
„Marylo!“ — wołam i z dłońmi obiema
Podnoszę oczy — ale jej już nie ma.

I taka codzien przewala mię burza
I codzien tak w odmętach żalu tonę.
I lubię jak się ten żal mój przedłuża,
Lubię te gromy i chmury czerwone
I te odmęty, w których myśl się nurza
I szalejące fale te spienione
I lubię wir ten, który sercem kręci
I to bezbrzeżne morze bezpamięci!

... I znowu smutek rozwiódł się pogodny
Nad cypryśową marzeń mych krainą
I znów mi czoło owiał spokój chłodny
Jak ów wieczorny wiatr, płynący trzcina,
Topielców ów pokutny duch nadwodny.
I znowu widma gdzieś mi z oczu giną,
I pozostają znów pełne żaloby
Przeszłych i przyszłych mych nadziei — groby.

Nadzieja bowiem we mnie tak wykwita
Jak upuszczone w locie przez gołębia
Na kamieniste pole — ziarno żyta.
A ziarno wschodzi, pęd w skałę zagłębia
I schnie, choć słońca i dżdzu ma dosyta,
Choć żaden chwast go marny nie przygnębia.
Nadzieja moja jest jak ból, jak łyzy te,
Z sierocych spadłe rzęs na grobu płytę.

Bo kędy stąpię, gdzie tylko wzrok zwrócę,
Tam grób lub ugor. A ja w tym ugorze
Włodarz samotny! Gdy włókę po włóce
Przechodzę, pługiem myśli glinę porzę,
Gdy co krok skibę jałową odrzucę,
To mi tak biją tętna i skroń gorze!
Ziemio! rodzinna ziemio, matko moja!
Czyliż ci brakło ożywczego zdroja,

Co runią łono twe zapładnia żyzne,
Który nie wodą, lecz krwią cię nasycą,
Ciekącą przez rozdartą wieków bliznę?
Czyliż już niema krwi — pusta tętnica?!
Ziemio! gdy patrzę tak na twą mieliznę,
Gdzie tylko głóg się pleni i turzyca,
Gdzie czasem zejdzie kłos, lecz nie dojrzeje,
Lecz ginie — czyliż mogę mieć nadzieję?

A jednak wiem, że ziemia ta potężna
I tyle w sobie cichej mocy kryje,
Że gdyby jej korzeni sieć siermiężna
Z koroną zrosła się, co już nie żyje,
I gdyby zadrżał ten dąb — to ciemieżna
Gadzina, która wokół pnia się wije
I coraz silniej ściska jego kręgi,
Prysnęłaby w sto sztuk od tej potęgi!

Ale wiem także, że z rozdartej rany
Ucieka życie, a pień się wyteża
I toczy zawiść kształt wzburzonej piany
Pod uściskami stalowego węża.
I już usycha olbrzym ten złamany,
A cielsko gadu na nim tak zacięży,
Że się korzenie jego trzęsą na dnie . . .
Chwila — zatrzeszczy kolos ten i padnie.

Niedługo jeszcze stać mu tak wytrwale,
Bo soki zeń wyżarły lata zbrodni
I nie pomogą kruche podpór pale,
Które stawiają ludzie, garstką zgodni,
Przeczuwający straszliwe *finale*.
Bo tem się prawda tylko udowodni
Jak świat odwieczna, jak świat bezlitosna:
Jedna jest tylko w życiu ludów wiosna!

Wracam do mogił . . . Zapadłe nasypy,
Krzyż przewrócony i zatarte zgłoski,
Nad niemi głóg, kaliny albo lipy.
Patrz, a w nich ludzie tak samo bez troski
Niegdyś na grobie Ojczyzny wśród stypy
Wiodący płas francuski albo włoski.
Tak samo dumni i nie waleczniejsi,
Tak samo głupi i źli jak dzisiejsi.

Polsko! żałobna ty tłumów kostnico!
Wybudowana z przepalanej cegły
Haseł. W twych murach życiową martwicą
Trzy pokolenia szkieletów już legły.
A jeśli w chłodnych lochach twoich tli co,
Jeśli me oczy w mrokach co dostrzegły,
To taki blask i taki zapal w twarzach
Jak te ogniki błędne na cmentarzach.

Pod dach twój niski fala życia znosi
Coraz nędzniejsze trupy, coraz bledsze.
Zgniłemi łzami sklepienie się rosi
I stęchłe spada na piersi powietrze.
A jak wokoło opuszczonej osi,
Gdy o młyn stary czartów moc się przetrze,
Latają skrzydła skrzypiące wiatraka:
Polsko! wokoło ciebie duchów taka

Chmura się ciemna uwija i skrzeczy,
Kłamiąc, że żyjesz, — nie, aby otuchę
Obudzić w rzeszach i wiarę, co leczy,
Nie, by jak tęczę rozplomić skruczę
I kławę słów nakształt ognistych mieczy
Wrazić w zamarłe łona już i głuche.
Lecz aby mścić się nad ludzką głupotą
I dźwięcznych słówek blask zamienić — w złoto.

Imię twe, Polsko, jest jak okrzyk dziki,
Który wydaje udręczone ptaszę,
Jest jak twarz Chrysta w chuście Weroniki,
Twarz, którą słodko całują Judasze
I biorą za to skrwawione srebrniki;
Jest jak ten obol, który w mózgi lasze
Wkładają zdrajcy . . . „Świt sobie prorokój,
Ale dziś tobie, ludu, wieczny spokój!“

I znowu w groby wchodzę — mimowiednie.
Ach! kiedym dawniej ja, w dziecinne dni me
Obaczył trumnę — przebóg! lice blednie . . .
Drzę . . . myśli jak śniegowe płaty w zimę
Padają w serce . . . lęk mię bierze we dnie.
Dziś — kocham was, mogiły me rodzime!
Bo w was zamknięta polska epopeja:
Proch-wielkość, proch-nikczemność, proch-nadzieja!

Kocham was! tak jak kocha matka-wdowa
Trumienki ciasne zmarłych swych dzieciątek.
I tak jak arkę, w której skrył Jehowa
Błogosławieństwa koniec i początek;
Jak krzyż, na którym ostatnie cnót słowa
Wyrzekł mój naród w skoru Wielki Piątek,
A po tych słowach opadły ramiona
I w strzępy pękła — jedności zasłona!

A potem jęli przepowiadać wieszczę,
Że będzie Polska leżeć w grobie trzy dni,
I nie trworzyły ich znaki złowieszczę,
Lecz rzekli: „dnia trzeciego się rozwidni!“
Zgoda! Ja jednak komentarz zamieszczę,
Który niech zdrajcy czytają bezwstydni:
Z trzech dni dzień każdy tyle lat pochłonie,
Ile się zrodzi żądź złych w polskim łonie,

Ile się myśli polskich sprzeniewierzy
Oczyźnie, w wieczne spowitej letargi,
Ile do Boga popłynie pacierzy
Za katów wolnej Polski — z polskiej wargi!
O! grób ten dawny, a jednak wciąż świeży
I codzien głębiej kopią go zatargi
I dziś jak dawniej u progu mogiły
Stoi nasz naród — lecz dziś już bez siły!

Dzisiaj się Polak chowa w swej skorupie
Jak ślimak, gdy go dotknie co, lub trąci.
Zaświecisz krwią mu w oczy — oczy trupie
I szklane, przerażenie mgli i maści.
Uderzysz w serce myślą, to się łupie
Jak próchno pod siekier ciosem — i są ci
Pod wolą twoją jak pod gilotyną:
Każesz im jęczeć — jęcząc, zginać — zginą!

Oto ci dawni pogromcy, rycerze,
Co dziś się bawią w wojsko gimnastyczne.
Gdy widzę te zastępy — śmiech mię bierze;
A takie dziarskie, ruchliwe i śliczne!
Do boju! kij w górę! wróg — na papierze!
Prostuj kark! — naprzód piersi dychawiczne!
... Minęła chwila boju i zapalu:
W dół kark! marsz w życie cicho i pomału!

I płynie życie nasze cicho, wolno
Jako ta rzeka, w twarde skuta tamy
I tak jak prądem, pracą swą mozolną
Głazy trzech krwawych młynów obracamy.
A tam wiatr chodzi naszą miedzą rolną
I sieje chwast - i krety grzebią jamy...
O duchu mój! w lot! w lot! w lot! precz od tchórzy!
Chcę sił i życia i gromów i burzy!

Chcę władzy!... Mam ją! Myślą światem rządę,
I myśl wszechmocna, kogo zechcę, wskrzesza.
Otwieram rdzawe przeszłości wrzesciądze
I wstaje z grobów małoduszna rzesza,
Więc ją za życie zmarnowane sądę,
Sądę ją troską i żalem Mojżesza,
Któremu rzekł Bóg: lud do raję zawieź,
A on zwątpił... nie w Boga, ale w gawieź!

Precz ze zwątpieniem!..Ja chcę silnej wiary!
I mam ją! Wierzę! Żrenicą proroka
Spoglądam w przyszłość i widzę — pożary!
Wyteżam bardziej moc czujnego oka...
Dostrzegam dymy dziękczynnej ofiary...
Silniej!... Widzę ją!... Na szkielecie smoka
Stała z berłem promienna niewiasta,
A z pod jej stopy bujny kłos wyrasta.

Dzwony o! dzwony biją! tak rozgłośnie!
Szumią o! szumią łany, wolnym wiewem!
Pieśń wolną słyszę — rośnie... rośnie... rośnie!
Zalewa kraj mój dźwięków swych zalewem...
Już po najwyższej górskiej płynie sośnie,
W błękit wstępuje swym anielskim śpiewem;
W ogniach błękity! w tęczaeh zorza ranna!
Cześć! Cześć! Hosanna! Hosanna!! Hosanna!!!

Budzę się... Jak tu ciemno!... Gdzież ja jestem?
Tfu! Jak wokoło tu padliną cuchnie!
Jezioro jakieś... zarośnięte rdestem...
Zrywam łądygę... O ty kwiatów próchnie!
Jakim ty szemrzesz bezdźwięcznym szelestem,
Gdy w gąszcz twą zgnilą świeży powiew dmuchnie.
Lecz wiem, że pęd twój zakwitnąć nie może
Tu, w tem błotnistem, zatęchłem jeziorze!

Jeśli my kwiatem nazywamy młodzież,
A bardzo słusznie, że się tak nazywa,
Bo taką samą niewinności odzież
Bielutką ma jak lilia lub — pokrzywa,
Niewinność-tarczę, której nie przebodziesz
Żadną pokusą... chyba — strugą piwa,
Chyba tym grotem, który z oczu ciska
Północna z pod latarni odaliska.

Jeśli więc młodzież jest kwiatem, to nasze
Kwiaty nie wiele od łądyg się różnią:
Tak samo idą na pożywną paszę
Dla trzech przemocy tabunów. I już nią
Nie kwitnie łąn wolności. Tu przestraszę
Czytelnika, gdy powiem, że nad próżnią
Młodzieńczych serc tli się i rozpościera
Cudowne myśli widziadło — karyera.

To jedno słowo tyle ma uroku
I takim dźwiękiem lubym ucho poi,
Że dzisiaj każdy nosi je przy boku
Miast karabeli lub pancernerj zbroi.
Nawet marzyciel, gdy spadnie z obłoku,
To wnet sam sobie taki hełm przyswoi,
Dostawszy parę ostrych cięć w podarku
Rapierem tym po idealnym karku.

I chodzą wszyscy w ślimacze kaptury
I w samolubstwo swe opancerzeni,
A im kto gęściej w złote strojny sznury,
Tem głębiej czuje wartość swą i ceni,
Tem w pysze swojej bardziej jest ponury,
A jeśli błyszczy, to blaskiem promieni,
Które na szare spóółstwo rozszerza
Gwiazda, z lśniącego patrząca kołnierza.

Taka to dzisiaj narodowa duma!
Tu węzeł wszystkich naszych klęsk rozetnę,
Gdy wolną piersią, ile tylko tchu ma,
Krzyknę: podłością jest służalstwo szpetne!
Gorszą jest plagą dla nas, niżli dżuma!
Bo w nas zabija uczucia szlachetne,
Bo z nami przemoc splugawioną godzi!
Bo rząd nam wtedy jest jak kat - dobrodziej!

Bo wtedy ciałem, nie duchem żyjemy,
Wrogów Ojczyzny wzmacniamy szeregi,
Na męki ludu patrząc jak sęp niemy!
Bo lat niewoli przewlekamy biegi,
Bo mamy czoło brać część tej tantjemy,
Uczestnikami być tej czarnej legii,
Która ostatkiem polskiej krwi się tuczy
I wściekle jady toczy z paszczy suczej.

Bo to wygląda tak, że wróg nas żywi
Wydartą łzami naszeni jałmużną.
I nie czujemy już tego — szczęśliwi!
I nie czujemy, że przemoc *nam* dłużną!
Niedługo duch nasz tak się rozleniwi,
Że łunę śmierci ujrzawszy złowrózną,
Sądzić będziemy, że to jutrznia płonie!
Śpiewać będziemy: Hosanna! — przy zgonie!

I na tę ziemię, która krwią się zboczy,
Na której wszystko leży dziś odłogiem,
Padniemy spici, mrużąc senne oczy,
Piekielnej czczości uwieńczeni głogiem
Jak dawny Rzym — i tak się kadłub stoczy
Nasz jak jego w grób — bo i naszym bogiem
Bachus, co szydzi, winem się czerwieniąc,
Bo i my cudzy roztrwaniamy pieniądz.

Ojczyzna? Polska? — to bańka mydlana,
Którą my w wolnych się chwilach jak dzieci
Bawimy, krzycząc: o śliczna, kochana!
I tak codziennie przez ciąg dwóch stuleci,
Ze słomki pustych frazesów puszczana
I wiatrem uczuć poddmuchnięta — leci,
Leci w obłoki gdzieś: meteor cudu,
Tam pryska — na nas spada kropla brudu.

Tutaj postawię rzecz na ostrzu miecza
I rzucę straszne i nowe pytanie.
Nowe, bo nikt przez blisko dwa ćwierćwiecza
Go nie tknął, odkąd upadło powstanie.
Straszne, bo żadna dotąd myśl człowieka
Nie odważyła się w czarne otchłanie
Przyszłości spojrzeć śmiało, bez zachwytów,
Nic nie spostrzegłszy więcej prócz — błękitów.

Kiedy i czyja moc nas z pęt rozjarzmi?
Czyliśmy sami wybić się dziś zdolni,
Niezliczonemi otoczeni strażmi?
Tak popędliwi — a tacy powolni!
Czyśmy się wybić zdolni? Muzo! każ mi
Zamilknąć lepiej, lub śpiewać jak polni
Śpiewacy, niczem nie zafrasowani,
Przyrodę tylko wielbić i żyć dla niej.

Dziwię się nawet dlaczego ja przestał
Oddychać limb swobodnych atmosferą,
Czemum obłocznych gór rzucił piedestał,
Wzgardził źródłami, co płaczą, gdy wzbierają
Żalem — tam, gdzie o świat wrzaskliwy nie stał,
Gdzie wołał sercem utęsknionem: *spero!*
A strumień słuchał, szemrząc, mej spowiedzi
I raz błękitniał ciemniej, a raz bledziej.

Pamiętam złudny sen tego wieczora,
Gdy mię daleko od miejskiego krzyku
Między chmur widma wzniosła stopa skora.
Dzień już odpełzał w ostatnim płomyku,
Gdym był na szczycie — a szczyt: Czarno-Hora.
Gdybyś mi sprostął krokiem, czytelniku,
Pokazałbym ci, którądy się idzie
Na ten szczyt stromy we wschodnim Beskidzie.

Pokazałbym ci jary i przełęcze,
W których się oko gubi i myśl błąka,
Przepaści, których nie szpecą poręcze,
Mur, nie związany drabiną z postronka.
Powiodę ciebie — jeśli się nie zmęczone —
Ponad mgły szare, gdzie z światem rozłąka
Nie jest tęsknotą, ale ukojeniem,
Gdzie szczęście — ciałem, a ból — jego cieniem.

Przekonałbym cię tą jedną podróżą,
Jak boleś twym natura rozboleła.
Gdybyś tam jęknął — to jęk ten powtórzą
Za górą góra i za skałą skała;
Gdy łza twa spadnie — to wnet się zachmurzą
Niebios, kędy luna bije biała
I rzuca cię na jar i źródł i zieleń...
Znowu pada pociech blask i rozweseleń.

Pokazałbym ci jeszcze śmierć... nie bole!
Nie tę śmierć w kurczach i w jękach i w pocie.
Tam pod stopami, daleko świat w dole...
Cichy... miasteczka i wsie jak stokrocie!
Wzgarda ci płonie jak księżyc na czole,
A świat się ciszą modli — woła do cię!
Bezdeń cię nęci — ty jak proch na globie...
Roztwierasz dłonie... lecisz... Już po tobie.

Otóż w ów wieczór ja sam byłem. Tu cię
Mój towarzyszu na chwilę opuszczę,
Bo mi się w piersiach przelewa uczucie,
Jak źródło ustronń lubiące i bluszcze,
A jednak głośnie tak jak fale w Prucie,
Którego płaczem jęczą ciemne puszcze
I choć nie widać w skałach skrytej rzeki,
Najdalsze jednak słyszą ją smereki.

Jam jest jak strumień ów, co z szyderstw głazu
Wybucho w silne i ożywcze zdroje,
Biją me strugi jak pioruny zrazu,
Dziś są jak ogień mroźne krople moje.
Lecz gdy oczyszczę kraj ten z mchu i z płazu,
Spękaną ziemię falą krwi napoję.
Będzie to więcej coś, niż pieśń miłości...
Lecz to należy już do mej przyszłości.

Otóż gdy stoję tak na górskim grzbiecie,
Zmrok na mnie pada cicho, zwolna, smutno,
Mgieł opływają mię srebrne zamiecie,
Ligawki gdzieś tam zajączą — i utną...
Gdy tak serdecznie robi się na świecie,
Czuję jak śpiewa duch mój pieśń pokutną...
Na ciemnym szczycie niesie mię Howerla,
A duch mój z siebie łączy i pieśń wyperła:

Kraino moja! Czemuż się mitręży
Twa moc ogromna, gdy tobie ołowiem
Brutalna ręka tak cięży — tak cięży!
Czyliż nie tęsknisz już ty sercem wdowiem
Za dawnym życiem? Czyliż w tej uprząży
Tak słodko tobie, że gdy ci przepowiem
Wieczystą hańbę wieczystej niewoli,
To nawet nie drgniesz? choćby tak — z swawoli?

Na twoim żyznym, szerokim obszarze
Rozsiane chaty, szczepione pałace
Nie są przy sobie choćby w jednej parze!
Nie idą w jeden cel, ni w jedną pracę.
Jeśli się łączą, to chyba w pożarze!
Jeśli pracują, to gdy zakołace
Do furty nędza, a do bramy pycha.
O ty kraino moja biedna, cicha!

Zasypał ciebie jak czarnym namulem
Z zachodu wicher wiejący — zwątpieniem.
I już nie zdolnaś ty łonem nieczulem
Ich znieńawidzieć! — więc ich nie wyżeniem!
Ach! a ja dotąd myśl i serce trulem,
Że takim długim, bolesnym strumieniem
Dni, lata, wieki płyną — płyną — płyną...
O! cicha moja, o! biedna kraino!

Wtem, gdy tak patrzę w mrok i w mgły przed siebie,
Z bezkształtnej, sonej i skłębionej masy
Srebrna się postać wzbija i kolebie,
Dziewiczej pełna jasności i krasy.
Na rozwidnionem zawisnęła niebie,
Stopą się tylko oparłszy na lasy,
A gdzieś o gwiazdy wsparła się — korona.
Rozkrzyżowane wznoszą się ramiona

I z nich co chwilkę spadają pierścienie
Jak rozłamane łańcucha ogniwa...
A mię półsenne ogarnia omdlenie
I nagle widzę jak do mnie przyływa
Widmo i mówi: „patrz, jak się płomienie,
Patrz, jakim wielką, potężną, szczęśliwą!“
Zrywam się... to duch Polski woła na nas...
Nie — to mgły — sen... Precz! *apage satanas!*“

Dzisiaj już żadne widmo mnie nie zwiedzie,
Choćby ze złota było, nie z oparów
I choćby z krzyżem lub kielnią na przedzie.
Chyba że wpadnę kiedy w stary narów,
Gdy ujrzę lud we łzach i w strasznej biedzie
I krzyknę: raz nam śmierć! zabijmy carów!
Nie, stójmy! Przebóg! ich milion kul broni.
Prawda... a my z czem? Co my mamy w dłoni?

Czy mamy wojska i szable i działa?

Czy mamy skarby, na których zakłęcie
Husaryja-by nam w pomoc przyleciała?

Ach nie! My tylko mamy ot, na ścięcie
Te nagie szyje i pod cel te ciała.

A duch? . . . Ha, ha, czyż ja mam wierzyć święcie,
Że zwyciężymy my, co w bój kultury
Za narodami idziemy jak ciury?

Hej, duchy w jedno zestrzelmy ognisko!

Woła Mickiewicz w odzie do młodości,
Wołają wieszczce przez dwa wieki blisko,
„Bo siła tylko w zgodzie i w jedności“.

Lecz dla nas jedność jest cudną huryską,

Której nam żaden naród nie zazdrości,
Bo jak wyraźnie stoi w Mahomecie,
Czeka nas ona aż — na drugim świecie.

A inni krzyczą: pracujmy, pracujmy,

Bo praca dziś to nasza broń jedyna;

Miecz zardzewiały na lemiesz przekazujemy,

Co ziemię w skiby zasiewne rozcina.

Szczęść Boże! Praca nie przynosi ujmę,

Zwłaszcza gdy złota wkoło szyi lina

Tłumi głos serca i do piersi spycha,

A pierś w chomości chodzi — taka cicha!

Słuchaj, opiszę ci tej piersi dzieje:

W dzieciństwie — szczęścia uczuciem oddycha,

Młodzieńcza — ogniem poświęceń zaleje,

Potem o wolność jęczy, potem wzdycha,

Potem już tylko niemą ma nadzieję,

Wkońcu jej całą głęb zalewa pycha,

Ta pycha płaska i wiernopoddańcza,

Która nikczemnych żywot dusz zakańcza.

Zginajcie się zawczasu karki młode,
Aby wam później znów nie było trudno
Współzawodniczyć w zdradzie — o nagrodę.
Rzucicie wy głowy zielone tę złudną,
W dziecinnych latach marzoną swobodę,
Bo ja wam powiem, że okropnie chudną
Ci, którym robak idei mózg wierci,
Gwiazda wolności przyświeca — do śmierci!

Lecz dzisiaj nie ma już takich; tém lepiej.
Tem prędzej naród po krwawej zniewadze
Stroskane serce ukoi, pokrzepi . . .
A ja swych myśli nie wydam, nie zdradzę.
Niechaj się bawią — niewolnicy ślepi!
Tu chciałem tylko położyć na wadze
Ogrom zniesionych krzywd na jednej szali,
Krew i łzy w drugiej, któreśmy wylali.

Lecz kiedym uczuł, że ten krzyż trójpienny
Ani na mgnienie się nie zrównoważy,
Ale uderzy krzywd piorun brzemienny
W proch naszych pustych, pokutnych ołtarzy,
Że grom ten obóz nasz przebudzi senny
I jęk ostatni rzuci nam do twarzy:
„Podli!“ . . . to myśl mą taka zdjęła trwoga,
Jakby ujrzała piekło, a w niem — Boga!

Cicho! . . . To tylko tak zaparły tchy mnie,
To jam się tylko wdrygnął, nie wiem po co.
Wy śpijcie; jeszcze północ w szronie, w zimnie,
Jeszcze się blaski jutrzniane nie złocą.
Zasnąć wam trudno już? . . . Więc ja wam w hymnie
Dźwięknę tak słodko, że wam zamigocą
Łzy rzewne w rzesach i oko się zmruży
I znów prześnicie wiek . . . a może dłużej.

Błogosławionaś nocy, śmierci córo!
Błogosławionaś spokoju słodyczą
I tą żalobną powagą ponurą
I tą zadumą niemą, pustelniczą.
Nic cię nie zdradza — nawet sowie pióro
Gdy leci — milczy, nawet gdy zasyczą
Zmije — to jakby echem przytłumionem...
A jednak — jakim strasznym bijesz dzwonem!

Głucho i zwolna, lecz zawsze, lecz krwawo
Uderza dzwon twój, nocy ty straszliwa!
Rozbrzmiewa w ciszy smutną zgonu sławą;
Północ uderza wciąż — i nie upływa!
Słyszę jak dziką puszczy zarosłych trawą,
Po szeleszczącym całunie igliwa
Toczy się z trumną w otchłań wóz — sierocy...
Błogosławionaś — śmierci córo — nocy!

Błogosławionaś snem tych, co spowici
Urokiem twym i tych, których osnuwa
Niemoc rozpaczy kształt stalowych nici.
Błogosławionaś mocą, która skuwa.
Ale i sercem tem, które się szczyci
Wiarą w potęgę zbawczą swą i czuwa! —
Chociaż je boleść rozdziera na ćwierci...
Błogosławionaś nocy — córo śmierci!

Ciemność — to nicość, ogień — rdzeń żywota.
Lecz ogień w ciemność milionem promieni
Jako strzałami ozywczemi miota,
A strzały lecą wskrós martwej przestrzeni
Srebrzysto-białe, potem pełne złota,
A potem blask ten jak krew się rumieni
I błękitnieje i w fiolet się zmąca
I drży i wsiąka w mrok — łuna gasnąca.

Gdy świata żar w ognisko dawniej zbity,
Po niezliczonych wieków długiej chwili
Na tyle słońce rozprysnie się w błękity,
A każde z słońc tych w takie się rozpyli
Iskierki drobne, że w nich zgasną świty,
To się na świecie życie w śmierć przesili.
Lecz nieskończoność — gdy pyły od siebie
Odepchnie — znów je zogniskuje w niebie.

I znów się wielki światów żar zestrzeli
I znów się dzieło stworzenia powtórzy,
Znowu ze siebie „Bóg-jasność“ wydzieli
Słońca i gwiazdy wśród ognistej burzy.
I znowu blasków promienni anieli
Popłyną lotem, który się nie nuży,
W mroki, by wskreszać, by zbawiać, rozpałać,
Lecz i rozpylać się ... nikać ... oddalać ...

To wszechświat, — on, co był i jest i będzie
I to konieczność, to jest prawo świata,
Niepowstrzymane, niezmylone w pędzie,
Prawo, co byty jako fala zmiata
I wskresza je w twórczości swej obłądzie
I życia blaskiem noc śmierci przepłata.
Lecz żywot nie jest równy żywotowi:
Co raz zginęło, już się nie odnowi.

Tak kiedy w próżni młodzieńczego łona
Ogień miłości buchnie niespodzianie,
Lecz w rozczarowań nocy zwolna kona
Przez ciągle bólów swych wypromienianie,
Wstaje śmierć — rozpacz ... Lecz ginie i ona
Przechodząc w nowe, lecz cichsze kochanie.
Bo żywot nie jest równy żywotowi,
Co raz zginęło, już się nie odnowi.

Tak kiedy ludzkość z dusz płonących stosu
Na wrogich myśli rozprószy się puchy,
Wzbija się geniusz z rozprzężeń chaosu
I wszystkich ludów skupia w sobie duchy
I rzuca żarem proroczego głosu
Nowe i lepsze życie w świat ten głuchy.
Bo żywot nie jest równy żywotowi,
Co raz zginęło, już się nie odnowi.

I naród mój dziś w takiej jest rozterce,
I tak zniszczony dusz i ciał zużyciem
I tak rozprysło mu zwątpieniem serce,
Że już skończyło — milionowem biciem.
Ale choć Polskę prawdą tą uśmiercę,
Powstanie! — lecz odżyje *innem* życiem.
Bo żywot nie jest równy żywotowi,
Co raz zginęło — już się nie odnowi!

Ciemność — jak martwa — jak zimna — bezwiewna!
Noc śmierci! noc przesileń! noc tworzenia!
Ech niesłyszalna zmiękła pieśń — rozlewna,
Nie dojrzeć nigdzie nawet blasków cienia!
Drży tylko myśl w pomroce tej — niepewna.
Myśl moja! — lecz już skupia się, sprzestrzenia,
Ściśnięta mrokiem w jeden punkt — błysnęła!
To jądro życia! To początek dzieła!

Wola ma coraz silniej ją rozpala,
Jak elektrycznym prądem ją przenika
I wciąga w siebie złoty pył z oddala
I wpadających iskier rój polyka.
Już coraz szersza strzela ogni fala,
Już coraz dalej języki z płomyka
W mrok wysuwają się — głośno szeleszczą,
Jakby z ciemności tej, co tak złowieszczą

Wokoło mnie się rozpostarła ciszą,
Wolały wszystkie do siebie — do słońca
Iskierki, co się gdzieś błędne kołyszą
Choćby i u nieskończoności końca!
Już wszystkie — zda się — przyleciały, słyszą,
Bo już nie czuję lecącego gońca
Tu — w łono moje, w me ogniste łono.
Już wszystkie świata we mnie ognie płoną!

Teraz ja ściągam to płomienne morze,
Wtłaczam je w serce, w jeden żar ogromny
I tak swą siłę w nieskończoność mnożę!
Jam wszechpotężny teraz i niezłomny!
Widzisz mię, czujesz — ty, ciemności Boże?!
Jam Bogiem światła! — lecz twej siły pomny,
Patrz! nienawiścią tak pałam ku tobie!
Patrz! ja do walki z tobą się sposobię!

Dwóch nas jest tylko teraz we wszechświecie:
Ja i ty. Lecz i tak nas jest za wiele!
Bo mię moc twoja ze wszystkich stron gniecie,
W tobie me ognie wrą — jak burzyciele!
Ustąp — bo buchnę! — i tak się rozmniecie
Potęga twa i tak cię w proch rozstrzele,
Że w nicość się obrócisz tym wybuchem.
Choćbym sam zginąć miał — ty będziesz puchem!

Lecz może nie wiesz czem jestem, lub może
Sądzisz, że bolem rosnącym się męczę?
Nie! Jam silniejszy tem, im dłużej gorzę,
Im ognie moje coraz są gorętsze,
Im ty zimniejszy jesteś, ciemny Boże!
Nie znasz mnie? Więc odkryję ci swe wnętrze.
Jeśli sam widok ten ciebie nie zniszczy,
Jeśli sam blask nie spali twoich zgliszczy...

Patrz! wszystko, wszystko, co jest życiem samem,
Wszystko, co czuje i woła się rusza,
Co nie jest woli i uczucia kłamem,
Czego nie więzi nic i nic nie zmusza,
Co nie jest martwym, ciężkim skał odłamem,
Co nie jest trupem, skąd wybiegła dusza,
Czego nie wchłoną nigdy w siebie — ciemnie,
To wszystko tu jest — patrzaj — tu, tu, we mnie!

Jam w sobie zamknął tu wszechistot wolę!
Jam duchem świata — a tyś jego ciałem.
Zgonem twym z objąć ja się twych wyzwolę,
Bo chcę, by mną był wszechświat, życiem całym!
Chcę w wieczną radość zmienić wieczne bole,
Bo sam boleścią swą się ukochałem!
Póki ty jesteś, jam jest krzykiem męki,
Zgiń! — a rozdźwiękne się we szczęścia dźwięki.

Widzisz jak w iskrę w sobie tu ścisnąłem
Potężnych myśli błyskawice dumne,
Które przez wszystkie wieki były społem
W próżnię, o złotych gwiazd wspartą kolumnę.
Były — mniemając, że jasnym aniołem
Otworzysz ty im czarną śmierci trumnę
I przez piorunem zdruzgotane deski
Pokażesz im szczęśliwy kraj niebieski.

Widzisz te myśli tu, te marne gromy?
Widzisz jak splotły się razem tęsknotą
I chcą rozerwać martwe tve ogromy!
Widzisz z jaką się siłą we mnie miotają?
A widzisz wszystkich dusz zbite atomy?
Co w raj pośmiertny wierzyły z prostotą
I rozprószyły się w tobie błędzące . . .
Aż oto znów się w jedno zwarły słońce.

Słuchaj . . . jak jęczą te strugi płomieni!

Przelewają się jak krew z rany w ranę,
Jakby z bólu w ból — i coraz szalenięj!

Słuchaj . . . znasz jęki te, te obłąkane?

Znasz ty ten nurt, co się tu we mnie pieni?

Znasz ty te fale, fale rozelkane?

Znasz ty ten krzyk dusz, co się we mnie skupia,
Dusz, które przemoc twa więziła trupia?

Tyle narodzin, tyle zgonów w męce!

I tyle w ciałach szarpiących się duchów,
Co ciała starcze swe i niemowlęce

Wloką za sobą jak brzemień łańcuchów

I jęczą i mrą . . . a ty w tej piosence

I w tych cierpieniach, wśród tych łez wybuchów,
Rozkosz w bezczucia swej czujesz mogile,
Wielkość w nicości i siłę w bezsile!

Wiem, bom to wszystko widział, czuł i zbadał,

Gdym jeszcze nie był czystym duchem, błyskiem,
Bo czułem jak się myśli gmach rozpadał

Pod twym przeklętym, bezwładnym naciskiem,
Słyszałem krzyk dusz, co ci odpowiadał,

Widziałem jakim bój się krwi roztryskiem
Zakończył, gdy się poddało w niewolę
Temu bez woli — to, co miało wolę!

A naród ten? — gdyś okiem nań łakomem

Spojrzał i wystął niewolniki tłumne,
Gdyś ciał twych ślepych, bezdusznych ogromem

Przywalił wolną pierś i serce dumne:

Czyliż nie pękło serce to jak gromem

Jękiem, nim w rozpacz runęło jak w trumnę?

I wylały się długie, krwawe rzeki . . .

I poszło echo przez ludy, przez wieki!

Poszło jak wicher — i nie nadaremnie!

Krew w ziemię wsiąkła, lecz płynęła dalej,
Pod mogiłami płynęła — podziemie.

I oto wszystkie dziś, fala po fali,
Wszystkie strumienie zbiegły się tu — we mnie
Jak w morzu, co się nie iskrzy, lecz pali!
Nie płacze już, lecz huczy, płonie, gorze!
Bo to krwi morze! krzywd morze! pomst morze!

O! patrzaj, słuchaj, jak się we mnie wija
Te węże z ogni, żmije te czerwone
I krew ze siebie zioną i krew piją
I krwią wołają: śmierć nu, śmierć!! — szalone!
Jeśli me myśli ciebie nie rozbiją,
To ja cię bolów tych piekłem pochłonę!
Ustąp! . . . Uderzam cię gromów oczyma!
A żar się skupia i pręży i wzdyma . . .

Do mnie tu, do mnie, do mnie duchów roje!
W jedno się skier słoneczne zbijcie ziarno,
W jeden się zwińcie zwój z krwi, cierpień zwoje!
W jedno się czucie niech uczucia zgarną,
W jedno się serce wtłoczą: w serce moje!
Widzisz jaką ty jesteś teraz marną
Potęgą przy mnie i mocą bez mocy
Ty, Boże gwałtów i zbrodni i nocy!

Wytęż się! Swój ostatni atak ponów!
Bo oto chwila chwil niepewnych końca,
Bo zgon tej chwili będzie zgonem zgonów.
Przed wyższą siłą padnie dziś pokłonna.
Bo wstanie z pracy wieków i z lat plonów
Wieczność twej nocy, albo mego słońca!
Ja albo ty . . . Nie! ja rządę wszechwładniej,
Moje zwycięstwo! . . . Zgiń! skonaj!! przepadnij!!!

III.

Przeglądam świeżo napisane zwrotki,
Idąc po uczuć wydeptanym śladzie
I widzę teraz jak kwiat natchnień wiotki
Pod trzeźwych myśli powiewem się kładzie
Na ziemię i gnie i czar traci słodki,
W jakim niemiłym rozsiał się bezładzie,
Po równym wierszem poranej niwie . . .
Smutno mi — lecz się więcej temu dziwię.

Dziwię się całej tej szatańskiej złudzie,
Która jest zdolna w niebo podnieść ducha
I cudotwórczą dać mu moc w beztrudzie
I archanielskie pienia wlać do ucha
I tak zaostrić wzrok, że tam gdzie ludzie
Mówią: ciemno, tam słońce dla mnie bucha,
Drogę przyszłości wskazuje pronieźmi
I nieraz jęk wydziera: Boże, zmień mi! —

Złudzie, co przeczuć ziarno w serce, zda się,
Rzuca jak w skibę otwartą i żyzną,
A gdy się ziarno to mą krwią napasie
I gdy się ognie w nie tęsknoty wgrzyzną,
Wystrzela w drzewo podniebne, gdzie ptasie
Słowików chóry nucą nad Ojczyzną,
Nad polem, kędy fale łez się toczą,
Nie zawsze pieśń szczęśliwą, lecz proroczą.

Otóż się dziwię jak to natchnień drzewo,
Listkami w krańce świata sięgające
I złotych myśli płaczące ulewą
I takie jasne jak gdyby miesiące
Półobumarłą twarzą, srebrno-brewą
Pouczepiały się za rożków końce,
W nierozzerwalny wchodząc z smutkiem związek,
Do słowikami rozikanych gałązek,

Jak drzewo to, potęgą i urokiem
Omamiające zmysły, kiedy roją,
Niknie i blednie, gdy się spojrzy okiem,
Mikroskopową przysłoniętem zbroją
Szkiele, które w życiu bezmyślnem, szerokiem
Wszyscy ci noszą, co się patrzeć boją;
Jak upojenie rajskich pierzcha chuci,
Gdy duch się z marzeń ocknie i ocuci.

Takie-m więc zwykłe włożył okulary,
Gdym prześpiewywał pieśń swą po raz wtóry,
By się przekonać, czy te sny i mary,
Które szybują tęczowemi pióry
Przez wyobraźni bezkreśne obszary,
Mgłę i blask mając miast kości i skóry,
Czy kiedy okiem profana je palnę,
Nie rozwieją się w nicość — niewidzialne.

I otom nieco się pocieszył, gdym je
Wyłowił wędką napiętej uwagi,
Płynące jako ryby w wartkim rymie,
Kiedym oglądał prawdy szkielet nagi,
Gdym poczuł, że ta pieśń jest jako wynię,
Ciężące pełnią swojej mlecznej wagi
U nowoczesnej poezyi, co schudła,
Pijąc zwątpienie z bezsilności źródła

I przezuwając to, co już strawione.
Lecz dajmy pokój ironii; te piki
Przydadzą nam się na inną obronę;
A teraz luźne zacieśniłmy szyki,
Na arkan woli schwyćmy myśli one,
Co rozpierzchają się jak tabun dziki
Po rozwichrzonych uczuć jasnym stepie.
Łańcuch strof zatem o tę myśl zaczepię,

Która na mój poemat barwy bledsze
Rzucając, przeraziła mnie przedwcześnie,
Że rzeczywistość cały urok zetrze
Z obrazów, którem stworzył jakby we śnie,
Że nie odkrzyknie mi echem powietrze,
Kiedy je moją rozpaczą rozpieśnię,
A potem każe mu tym samym torem
Nieść dźwięk nadziei — niwą, morzem, borem

I dążyć w kątki najdalsze, najskrytsze,
Gdzie tylko iskra polskiej dumy tli się,
O to bić czoło, które się nie wytrze
Z krwawych plam, lśniących w niezgojonej rysie,
Uśmiechem łaski, rozdawanym chytrze
Przez kłamne wargi i przez oczy lisie.
Lękałem się, czy ta pieśń moja dotrze
I rozplómieni mi serca — najmłodsze.

Bo się o serca te najbardziej trwożę,
By nie zwały się życia kurzawą,
Nie zeszyły na codziennych trosk bezdroże
I płynąc falą wielkich celów krwawą,
By nie stanęły w zniechęceń zatorze!
By nie wzgardziły męczenników sławą!
By nie zemdlały w strasznych bojach chrzeście!
By nie zaznały kiedy, co to szczęście!

Bo gdyby miały pójść te młode hufce
Drogą, wybitą stopami pokoleń,
Żywotem swym podobni jednodniówce
I przed przemocą w proch położyć goleń
I Polsce oddać z serc swych po połowie
I wciąż przewlekać godzinę wyzwoleń
I ciał rozkoszą ciał ukochać piękno:
Lepiej niech staną serca te — nim zmiękną!

O, lepiej niech je śmierci wąż owiże,
Poczęte w zdradzie i w żądzy spokoju,
Niżby je opleść miały zwątpień zmije,
Niż pijąc rozkosz w upokorzeń zdroju,
Miałyby wołać podle: Polska żyje!
Żyje? a kędyż jest życie bez boju?
Żyje? Więc pocóż to jęków kłamanie
I to bluźnierstwo: „wróc nam wolność Panie!“?

Zaprawdę! Jeśli wy młode orlęta,
Będziecie, lecąc, maczać pióra w bagnie,
Jeśli wam rozkosz nie będzie przeklęta,
Jeśli wam piorun myśl do ziemi nagnie,
Jeśli wam wolę choć raz trwoga spęta,
Choć raz spoczynku w burzy duch zapragnie,
Choć raz wam westchnie pierś żalu piosenką,
I życie wam nie będzie jedną męką! —

Jeśli wam inny kiedy cel zaświeci,
Inna chęć w łonie wylęknę się zrodzi,
Nie cel, co spełnień czeka od stuleci,
Nie chęć wyrwania Polski z mąk powodzi;
Jeśli wy sami ze złotej złuźb sieci
Nie wyplątacie się, pókiście młodzi,
Jeśli wam miłsze jest tuczenie ciała,
Niż przyszłe szczęście narodu i chwala —

To ja wam powiem pomimo wybryków,
I mimo wieszczych piosenek pieśniarzy,
Mimo wrzask głupców albo nikczemników,
Którzy u sennych mar stoją na straży,
A są najniewolniejsi z niewolników,
Że szala śmierci już się nie przeważy,
Że Polska waszych słów proroczych syta,
Nie wstanie nigdy — waszym snem zabita!

Cudem to będzie, jeśli się rozkruszy
Przesądów skała pod piorunem bożym,
Co jak z chmur krwawych bije z mojej duszy.
Lecz jako rzesze za świętym Ambrożym
Szły, kędy błysnął srebrny kij pastuszy,
Tak za mną pójdą duchy — aż położym
Swe jasne skrzydła na całym narodzie!
A wtedy ujrzy naród święte łodzie,

A ponad niemi trójcą gwiazd czerwonych,
Które za sobą będą łodzie wiodły
Po falach ogniem i krwią rozwichrzonych,
A w łodziach ciągle będą łkały modły
Jak tych, co płyną do stron utęsknionych
Pod jednym wodzem, pod wspólnemi godły.
A gdy ostatni strzeli grom, okręty,
Strzaskaną piersią trąca — o brzeg święty.

Kto za mną pójdzie, słodczy nie zazna,
Ale zobaczy, co to woli cuda.
Ni mu się Wenus uśmiechnie przyjazna,
Ani mu czoła nie uwieńczy nuda
W roli czułego kochanka, lub blazna,
Co cieszy się, gdy mu się dowcip uda
I na tem całą wartość swą opiera,
Gdy go pleć słaba ma za bohatera.

Kto za mną pójdzie, temu śmiech wesela
Na warg nie błysnie rubinowej tęczy,
Bo pójdzie drogą, którą cierń wyściela
Nadchmurnych szczytów, podniebnych przełęczy.
Temu nie zabrzmi do snu harfa pszczela,
Co w słońcu z kwiatu na kwiat lecąc, brzęczy,
Lecz czuwać będzie dopóty, dopóki
Nie zcichną mu nad uchem gromów huk.

Kto za mną pójdzie, ten serce sieroce
Nie łąą zwątpienia, lecz zemstą okłamię
I będzie szedł jak orkan, co druzgoce
I w bezlitości swej zapory łamię
I rozszaleniem swem rozmnaża moce.
Nie zastanowi się przy żadnej tamie,
Lecz ją rozmiecie w pył pięścią olbrzyma
I pójdzie dalej — chyba grób go wstrzyma.

Kto za mną pójdzie, ten się blaskiem siły
Jak złotem słońcem cały opierścieni,
Zamiast krwi ogień będą niosły żyły,
A oczy straszne żagwią swej czerwieni,
Błyskawicami będą w serca biły
I poczną ludzie drzeć, zgrozą szaleni
I obłąkani licem, które zblednie
I za tym wodzem polecą — bezwiednie.

A on nad temi duszami rozkrwawi
Swój ból jak wielką, dymiącą pochodnię
I z serc tych całe czucie wybłyskawi
I w jedną cudu splotnieni zarodnię.
I już nie będą ludzie trwogą rdzawi
I już nie będą rodzić sny bezpłodnie,
Lecz wiarą ślełą jak śmierć i niezłamaną
Zwszechmocnią tego czyn, kto pójdzie za mną!

O duchy moje bratnie, młodociane!
Was wzywam pieśnią, którą na wicher kładnę,
Was, coście całą wzięli Polski ranę
Na serca swoje smutne i bezradne.
Ja na te serca wasze mocą stanę
I wiarą je uczynię samowładne
I całą przyszłość na nie jasną złożę
I w czar wam czoła owionę jak w zorzę.

Nad wir przeznaczeń wzniosę was, jak wzniosłem
Własne swe myśli nad przesądów tonie,
Wzgardziwszy życia marnego rzemiosłem.
Was fala losów ślepień nie pochłonie,
Lecz pruć ją wolą będziecie jak wiosłem,
Ku wytkniętego celu płynąc stronie.
Ludzie wam będą jak posłuszne prądy,
Pędzące okręt idei na lądy.

Wzywam was duchy wielkie, duchy bliźnie!
W drogę! Dość długo staliśmy popasem
Na niewolniczej, upalnej mieliźnie.
Dość długo pustyni, bezmyślnym hałasem
Dalekiej znać dawaliśmy Ojczyźnie,
Że jeszcze dziś żyjemy i że czasem
Zrywa się za nią w nas wicher tęsknoty.
A oto wciąż nas więzi — piasek złoty.

Precz mi z obłudą! Oto wśród was staję
Z obliczem pełnem gniewu i pogardy
Dla tych, co stroją się w łask gronostaje
I za krzyż jeden w piekłoby miliardy
Dusz powtrącali i męką do dna je
Przybili — ziomków! — za łachman kokardy!
Bogdaj wam było w tej lśniącej kłitajce
Jako w koszuli Dejaniry — zdrajce!

Nie was ja sądzić przyszedłem, bom na to
Za dumny, aby być robakom — sędzią.
Lecz duchów zbiorę drużynę skrzydlatą,
Ostatnią pieśń im zanucę łabędzią
I wskażę smutnym za potrójną kratą
Wolności marę, co tęczy krawędzią,
W górę wzniesioną, do Boga uchodzi
I z krwi ma lice, a włos z łez powodzi.

Wskażę — i pójdą, pogonią, polecą,
Błyskawic iskrą tylko zamigocą,
Gwiazd spadającą tylko łąą zaświecą,
Co przez błękity przemknie cichą nocą
I przytrzymają postać tę kobiecą
Taką boleści swej serdeczną mocą,
Że nam przebaczy święta ta wygnanka
I do narodu wróci — do kochanka.

Przyszedłem pieśnią tą w naród uderzyć
I jak piorunnym rozciąć go obuchem
Na tych co wierzą, albo chcą uwierzyć,
Że się podniesie Polska czystym duchem,
A których hasłem będzie: raczej nie żyć,
Niż się przez życie jak pies wlec z łańcuchem,
I na tych, co żyć nie zechcą inaczej,
Tylko jak dotąd — w skorupie ślimaczej.

Na przewodników i na tłum, co dusze
Przyczepiał będzie do nich wylęknione,
Jak do komety w złotej zawierusze,
Co ma daleko wstecz skry rozstrzelone.
Bo wiem, że wszyscy pójdą, wszystkich ruszę
I tak na niebie żałobnem zapłonę,
Lecąc ku słońcu — pył gwiazd tchy nie zmieta —
Ogromną duchów tęskniących kometa.

Przyszedłem do was jak ten, co ostatnie
Przerzuca mosty nad przepaściami trzema.
Więc nie lękajcie wy się, duchy bratnie,
Bo tam gdzie bojaźń, tam zbawienia nie ma!
Choć przeciw wam się cały świat wasz zatnie,
Odepchnie od się, krzyząc: *anatema!* —
Do mnie! przy jasnym stawajcie wyłomie
I w lot, a co się oprze nam — rozgromię!

Jeśli kto drogę tę zagrozi waszą
Potokiem łez lub klątw lub choćby trumną! —
Niechaj się myśli wasze nie przestraszą,
Lecz bądźcie woli zastygłą kolumną,
Kiedy was dłonie rozpaczne opaszą.
Na śmiech motłochu miejcie wzgardę dumną,
Bo się wasz duch nad tłumem czerń plugawą
Jak dąb rozrośnie nad poziomą trawą.

Jeśli wam mówić będą opiekuni
Gnuśności waszej i niewoli stróże,
Gdy się wam w piersiach czynu żar rozłuni:
„Szaleńcy, skarcie uczuć młodych burze!
Przed wami przepaść, a wy idąc ku niej,
Idźcie przeciw Bogu i naturze,
Która wam każe żyć, za szczęściem gonić,
Rodzinę mieć, od niebezpieczeństw stronić!”

Jeśli ci powie kto tak i rozedrze
W boleści szaty nad twem obłąkaniem,
A oczy jego poczną łyżać szczedrze
Nad wywichniętem życia powołaniem
I nad twą dolą — o duchu mój, wiedźże,
Ze to jest wróg nasz, że kiedy my wstaniam,
A sztandar zorzy wzniesie świt-chorąży,
To on wraz z nocą w nicość się pograży.

Więc po łzach stąpaj i po kłętew zgrzycie
Jak olbrzym, stopą gniotący robactwo,
Leć po poświęceń jasnej swej orbicie
W ognisko, gdzie się skupia gwiazd twych bractwo,
Gdzie się tli nowa myśl i nowe życie.
Piorunem karaj każde świętokradztwo,
Co wydrzeć chce ci myśl tę do ostatka,
Choćby to ojciec twój był, albo matka.

Bo nie jest życie twe własnością twoją,
Ni ojca twego, ni twej rodzicielki.
Życie tych, co się z polskich łon wyroją,
Których niewoli wyda smutek wielki,
Jest mieniem Polski, jej życiem i zbroją,
Jest do ostatniej łez i krwi kropelki
Jedynym skarbem męczennicy świętej,
Niżli rubiny droższym i dyamenty.

Więc wszystkie chwile, które w ciszy zbieżą,
Każda łza bólu nad sobą wylana,
Każda krwi kropla, ssawką nietoperzą
Niskiej rozkoszy z żył polskich wyssana,
Jest na Ojczyźnie spełnioną kradzieżą!
A syn ten sługą oprawcy-szatana,
Który nad ludów pastwi się Madonną,
Mieczami cierpień świętą — i bezbronną!

Bo zbroja marnie przekwitłych żywotów
Spada z jej piersi i pierś огоłaca
Na ostrza strutych nienawiścią gotów.
A gdy tak Matka życie krwią wypaca,
Każdy ze synów jej rzucić jest gotów
Na tacę ofiar tysiąc słów! — a taca
Pod kłamstw moneta dźwięczy w dal rozgłośnie,
A śmierć się zbliża, rośnie! — i ból rośnie!

O wy, co darząc Ojczyznę tym bolem,
Czasem ze łzami ukłękacie przy niej
Z wieńcem czcnych myśli jak z zeschniętym kłakolem
Na trupiej skroni, na tej snów pustyni,
Gdzie każdy siwy włos — zdrady symbolem!
O! czemże duch wasz, czem zadość uczyni,
Za tyle mieczów, co w serce Jej toną,
Za tylu tęten moc — zmarnotrawioną!

Czem wy jesteście wobec własnych sumień?
Gdy srebrne śmiechów fale się rozpląną,
Ucho ostatnich ech radosnych strumień
Wrzuci do waszych dusz, nad ich głębiną
Opadnie opar zachwytów i zdumień,
Gdy samotności nad nią się rozwiną
Skrzydła ponure i myśl stanie w cieniu:
Czem wy jesteście we własnym sumieniu?

Czy może nad tym uciszonym stawem,
Po którym szalów chodził powiew słodki
I marszczył go powrotnych dreszczów spławem
I nad nim myśli pajęczych rwał motki,
W półświatle gdzieś się kołyszące łzawem,
Nad stawem, kędy miluchne rzekotki
Piały miłości piosnkę swoją cudną,
A jednostajną tak i taką nudną —

Czy nad tem cichem dusz waszych jeziorem,
Gdy czar omamień pod tchem smutku pierzchnie
Jak mgła opadnie i zniknie wieczorem,
Gdy wam miłości słońce nagle zmierzchnie,
Gdy się toń sinym oblecze kolorem
I rdza przesytu zakrwawi powierzchnię,
Czy nad tą tonią w taką noc oślepię
Choć jedna gwiazdka stała z niebios sklepień

Rzuci wam promyk z nadziemskiego świata,
Promyk, co wnika w głębię dusz aż do dna,
Ogrom nieznanych uczuć wskrós przelata
I każdą myśl, co grzęzła w mrokach chłodna,
W swój złoty wspólnej włos idei wplata
I całą głębię tę, która pogodna
Lśni w tęsknot skrach miesięcznych — po mak osi
Jak księżyc fale mórz do nieba wznosi?

Czy wam choć jedna błyszczy gwiazda taka?
Czy wy czujecie w sobie morze dumy?
Czy zrywa wam się duch nakształt lwa-ptaka,
Który ogniste, lecąc, sprawia szумы,
A rubinowa za nim się poszlaka
Wlecze, na którą dusz wstępują tłumy
Jak w snop świetlisty ciem spłoszona chmara
I taka chciwa łun, choć w świetle — szara?

Nie. Bo ja wiem, że jak żółkniące liście
Z was opadają chęci, gdy przeleci
Nad duszą waszą ból w śmiechów poświęście,
Wśród słów szyderczych grałowej zamieci.
Patrzcie! — on mija bezsilny, a wyście
Jak połamany, suchy pień, co świeci
Nad stawem duszy przedwczesną jesienią.
Na którym żądz się chore błyski mienia.

A gdy i one zcnią się i pogasną
I pozachodnia na was padnie chwila,
Puhacze śmierci nad wami zawrzasną,
Gdy poczujecie jak serce opyla
Kurz życia, stopą podniesiony własną,
Gdy się tak ciało stli, a myśl pochyla
I jak kotwica zapada w głąb duszy,
Chcąc o dno szczęścia uderzyć w czczej głuszy:

Nagle wynurza hydra łeb swój czarny
Z tej toni dotąd spokojnej, zaśnieonej,
Upior rozpaczy, mściciel przedementarny!
Wzrok pustką ciemną strasznie roztworzony,
Jęk w martwej krtani uwiądl — w rękach marny
Głóg: życia głóg, życia kwiat, życia plony!
Wstrząsa nim . . . przebóg! — trupiemi widziadły
Zasyczały głogi te — i opadły.

A ciemna mara rozszerza się, rośnie,
Swe skrzydła rzuca na brzask uświadomień
Jak chmura na błękity, gdy zazdrośnie
Otula ziemię, by się żaden promień
Nie przedarł przez nią, nie błysnął radośnie.
Myśli się trzepią w tej nocy rozgromień
Jak ptaki, gdy im mróz z serc wyżre ciepło,
Gromadą oszalała i ośleplą.

A wszędy nicość jeno — pustka wszędy!
Czasem się tylko w tej ciemności trunie
Przywidzi duszy jakiś blask . . . „O tędy!“
Woła i myśli szle ku bladej łunie,
Rozpaczliwymi pędzone obłądy.
Lecz nim doleczą, już się blask usunie
I dusza woła: nie, tu nic nie było!
Znów ją ogarnia mrok — czarną moglią!

O! stokroć gorsza niż głód i choroba,
Niż rany ciała, niżli piekiel żary,
Jest owa ducha bezsilna żaloba,
Która ze siebie już żadnej ofiary
Wydać niezdolna — i jest jak u żłoba
Okaleczony, samotny koń kary:
Tam trąby grzmią i gdzieś szczęk słyhać zbroi,
A on łańcuchem targa, rży — i stoi.

Tak wasz się duch w nicości mrokach szarpie,
Aż w samobójczym strawi się obłędzie
I myśli czeze rozpaczą jako harpie
Nienasycone i zawsze i wszędzie
Rwać wam w kawały będą serca karpie
I żar przesytu mózgi żreć wam będącie.
Bo w cudzołożnej, niewolniczej pracy
Znicestwiliście wieki dwa — robacy!

Wyście o własnej stać powinni sile,
Nie o pień dębu opierać swe plecy,
Który na waszych zagród wzrósł mogile;
We własnej zbierać zapasy fortocy,
Żeby, gdy przyjdą ostateczne chwile,
Nie zdmuchnął wiatr was jak otwartej świecy;
Gdy dąb ten będzie się w piorunach palił,
Padając, żeby i was nie przywalił.

Wyście powinni — planety ruchome —
Mieć jedno wspólne ognisko i własne,
Które dla wszystkich byłoby widome
I dla najdalszych serc ciepłe i jasne,
Silniejsze, bliższe niżli słońce — Romę,
Ognisko, blaskiem nie mówiące: gasnę,
Lecz się rozpalam, potężnieję, wzmagam,
I rozkazuję wam, duchy — nie błagam.

Wyście powinni mieć jako rój pszczeli
Wspólny swój ul i własną dusz królowę,
Która na równe pracę części dzieli
I pokazuje, kędy łyzy miodowe
Zbierać, do jakiej je zanosić celi
I jaką plastrów stkać trzeba osnowę
I jaką ula wybudować postać,
By się nie mogły doń niedźwiedzie dostać.

I żyć powinniście tak jako pszczoły,
Z rozpostartymi dzień cały skrzydłami,
Z zanurzonemi w kwiatach trudu czoły,
Aż złotym miodem duch wasz się obrami
I plonem czynów ciężarny, wesoły
Zgodnymi wróci do ula pułkami
I plon swój złoży we *wspólnej* spiżarni.
Bo być musicie jak pszczoły otiarni

I znieawidzieć siebie! — swą istotę
Całą przemienić w miłość macierzystą
Wspólnego dobra — i trutniów hołotę
Od siebie precz odegnąć — duszę czystą
I siły ciała i ból i tęsknotę
I życie oddać na sprawę ojczyzną,
Wszystko poświęcić jej — i nic dla siebie!
A co w koniecznej będzie wam potrzebie,

By krzepić ciała, wytężone pracą
I pot zniechęceń z dusz ocierać znojných,
Wspólne was sycić będą miody, za co
Stokroć wy tyle z kwiatnych pól spokojnych
Zniesiecie — z pól, które nas tak wzbogacą,
Że nas świat ujrzy od stóp do głów zbrojnych,
Dumą potęgi swej opromienionych,
W ostatni mknących bój — niezwykłonych!

A dzisiaj? — o pokażcie mi, pokażcie
Na patryotycznej owoc wasz łodydze,
Bom znużon, siedząc na okrętu maszcie,
I choć wyteżam wzrok — brzegów nie widzę!
O mój narodzie! — temu, co pod straż cię
Wziął, kęsa dać nie możesz — bo się brzydzę
Łzłą u tyrana uproszoną strawą:
Chcę żyć ojczystym chlebem — i mam prawo!

Mam prawo żądać, ażeby ta niwa,
Na którą duszę swą wylewam z potem,
Na której chcę, by brzmiała pieśń szczęśliwa,
Karmiła mię pszenicznych kłosów złotem,
Kłosów, które nie wroga dłoń wyrywa,
Za znój w nagrodę płacąc plew omłotem,
Lecz które składam do wieków śpichlerza,
Za trud swój biorąc ziarno — żołąd żołnierza.

Mam prawo spytać was, smutni żniwiarze,
Ilu was stało w pracowitym rzędzie,
Po jakiej ziarn z was każdy zebrał miarze?
Wiem, że was razem licha garstka będzie,
Wiem, że mi każdy pustą dłoń pokaże,
Stojąc na chwastem zarośniętej grzędzie,
Lecz pytam, by mi serce w was odjękło
Mą wiarą — jeśli nie, by z żalu pękło!

Bo czyż sądzicie, że gdyby wam dzisiaj
Wolność, na skrzydłach błyskawic zleciawszy,
Rzekła: wyrwijcie się z paszczy tygrysiej,
A ty narodzie całą moc zebrawszy,
Na pole śmierci krew ofiarną wysiej:
Czyż wy sądzicie, że bój choć najkrwawszy,
Jak zorza w cieniach nocy znów nie zblednie
I nie zakończy się tem, czem poprzednie?

Czyż wam się zdaje, że można bez trudu
Jedną ogniami szaloną godziną,
Jednem popchnięciem w mord martwego ludu,
Jedną śmiertelnej rany wargą siną,
Bolem milczącą — wywołać cud cudu?
Krwawemi strugi, które raz popłyną,
Podmyć, odwalić, roznieść w świat daleki
Opokę, którą w grunt wpuściły wieki?

Czy wam się zdaje, że los z koniecznością
W igraszce kędyś na gwieździe polarnej
O byt narodów rzuca trupią kością,
A naród siedząc przy urnie cmentarnej,
Winien, wpatrzony w gwiazdy z ciekawością
Śledzić, czy padnie biały wierzch czy czarny?
Nadzieję tylko nad sobą roz tęczyć
I czasem zaśmiać się, albo zajęczyć?

Tą się kierując wygodną metodą,
Zajdziecie — sądzą — lecz przed tron Jehowy,
Dokąd was czarni szatani zawiodą,
Z karków wam tucznych pościnawszy głowy.
I wy tę Polskę nazywacie — „Młodą!“
Dla mnie jest ona jak upiór grobowy,
Który wywlókłszy z trumny ciało zgniłe,
Starczy wyteżę głos — udając siłę.

Lecz dość upodleń! Czas odżyć, na Boga!
Oto przed wami grom gniewu wypala,
Z pod stóp wydziera grunt — nie tędy droga!
Niech się we wstecznym cofnie biegu fala!
Bo tam za wami chat waszych pożoga
Czerwoną łuną was przyzywa zdala.
Strumieniem czynów pożary zagaście!
Cofnijcie bieg swój fale! — tu przepaście!!!

O dniu zmartwychwstań wy duchy lęдлиwe
Śnicie, a trudno wam rzec: niech zaświta!
I gdy dziś wichry zerwą się burzliwe,
Piorunne w ziemię zaryją kopyta,
Błyskawicową w dal rozwieją grzywę,
Fale w powrotne przerzucą koryta,
Spróchniałe drzewa zwałą, cisną w błoto
I z świstem wszystko co słabe rozmiotą:

To wy w podziemne schowacie się domki,
Gdzie się nie wkradną ogniem błyskawice,
Wolności okrzyk nie dosięgnie gromki
I zapaliwszy pogrzebne gromnice,
Na ziemię kładąc jak liche poziomki
Purpurą gniewu przesycone lice,
Wezwiecie Boga przeciw piekła pysze,
Niech skarci burzę — a przywróci ciszę.

Wiem, że tak będzie, wiem, że mi wymierzą
W wzniesione serce stutysięczne groty
Ci, którzy w przyszłość jaśniejszą nie wierzą,
Których uwielbień osłaniają płoty,
Czując, że wstrząsnę tak ich kłamstwa wieżą,
Że się rozwali jak z kart pałac złoty,
Czując, że droga ma lepszą, bo prostrzą . . .
Lecz choć nie widzą mnie — już strzały ostrzą.

Wiem, że mi wpoprzek staną ci nędznicy
Ciemną, wyjącą jak szakale tłuszczą
I na mnie w głupstwem wzdętej nawałnicy
Całą żółć oszczerstw z cichą krwią wypluszczą,
Sądząc, że dam się tak jak męczennicy
Ukamienować i że mnie nie puszcza
Do grobu Polski, gdy mi laury strąca,
Abym zawołał „*zbudź się!*“ — na nią śpiącą.

Lecz niech się darmo nie trudzą, nie męczą,
Zawiścią niech się serce ich nie pieni,
Bo nie dbam, jakie puszczyki zajęczą
Nad uchem, nie dbam jak mię kto oceni.
Gdy mię syczącą oblecą obręczą
Szatany, to je jak kupę szerszeni,
Nieczuły na ich żądła — owe dusze
Piekielne w twardą zgarnę dłoń — i zduszę!

Bo we mnie tak olbrzymia siła tętni,
Że jej myśl wasza wspólna nie obejmie,
Lecz w niej jak w morzu zginie najdoszczętniej.
Więc niewolnicze plemię słuchać chciej mię!
Chciejcie żyć, woli wy łazarze smętni!
Pochwyćcie ramię to, co się uprzejnie
Nagina w bagno, w którym duch wasz grzęźnie,
Bo chcę was *wolnych* ujrzeć — wieczni więźnie!

Przed niczem się nie ugnę — wśród zawiei
Nad rozszalałe bałwany zawiści
Widzieć mię zawsze na skale idei
Będziecie wy, walczący za nią, czyści.
Płynąć będziecie nie przeciw nadziei,
Lecz pewność mając, że się wnet to ziści,
Co na tęskniących lat zwodniczej fali
Odbiega od was coraz dalej . . . dalej . . .

Więc do mnie! Oto sztandar swój rozwijam,
Z nową wstępując ludu mego sławą
Na gruzy Troi — odmłodzony Pryam.
Serce hetmańską będzie mi buławą,
Skrzydła, na których w swobod kraj się wzbijam,
Z poświęceń piór połyskujących krwawo
Złożone, mocy blask lejące złoty:
Oto kontusza nowego wyloty!

Wzlećmy! Zerwijmy słabe zwątpień nici,
Którymi wiąże nas powszedniość błaha
I wielką myślą bądźmy jednolici!
Niech woli nas pancerna olśni blacha
I gwiazda dumy czoło nam oszczyci.
Wzlećmy tym lotem, który się nie waha
I nad najwyższe wznieść się duchów szczyty,
Chociażby na nim Chrystus był przybity!

Takim się tylko naród nasz sposobem
Odrodzi i tak tylko zmartwychwstanie,
Bo musi wprzód nad ciała ciemnym grobem
Duchem jak słońcem nowe zwiastowanie
Dać światu i swej potęgi zasobem
W nicości stwarzać i rzec: niech się stanie
To, przed czem wszystkie ludy się ukorzyć
I czić winny! Tak musi rzec — i ożyć!

Ta myśl, to życie teraz tu jest: u mnie,
W mem łonie, nim się na naród roztryśnie.
Dlatego do was przemawiam tak dumnie,
Dlatego duch mój, nim tęczę zawisnie,
Nad wami grzmi, śpiącymi cicho w trumnie;
Dlatego serca wasze — tak kapryśnie
Przelatujące z łzy na śmiech w igraszce
Uczuć — na waszej trupiej kruszę czasce.

I wszystkie słowa wasze prózno brzmiące
I czyny martwe, które z sobą walczą
Zawiścią i jak osty są na łące,
Purpurą swą krzykliwe samochwalczą,
Listeczkiem każdym zasług swych kłujące,
Z myślą pod każdym korzonkiem padalczą,
Tę pracę waszą, co widnokraż ciemni,
Jak błota garść wam rzucam w twarz — nikičemni!

Mocą, co tworząc, tworzy nieśmiertelnie
I każdą myślą swą naprzód posuwa
Dzieło zbawienia i słowo jak kielnię
Ognistem pełni uczuciem i skuwa
Rosnących murów luźne cegły szczelnie
I nad wolności przyszłym gmachem czuwa —
Mocą, co wszystkie zmarnowane chwile
Zamknęła w sobie w jednej iskry pyle

I iskrą tą na serca, które staną
Na czele, padnie jak na dynamity,
Drogę torując w proch rozbitą ścianą
Uporu — mocą, która los zakryty
Odziera myślą mężną, nieskalaną
Z ciemnych tajemnic i przybliża świty —
Mocą, co wyrwie jęk z piersi miliona,
Gdy spadnie krwawa wolności zasłona —

Całą przeszłości nędzę, całą zdradę,
Całą niewiarę spodłonego ducha
I bojaźń, którą polskie twarze blade
I rozkosz, która głuszy brzęk łańcucha
I samolubną o kość łaski zwadę
I fałsz ten, który jękiem z was wybucha,
Przeklinam!!!... Burzę dawnych lat budowę:
Niech zginie stare życie — wstanie nowe!



OFIARA KAINA.

(Wiersz napisany w rocznicę Konstytucyi 3. Maja).

☉ wolność wołasz, tłumie niewolniczy!
Rozpaczy krzyk twój głuszy kajdan brzęki,
A oko twoje obłudne tych liczy,
Którzy wzruszeni podłością twej męki,
W proch ci rzucają marną kość żebraczą,
A gdy ją chciwie chwytasz — oni płaczą.

O litość wołasz . . . Na święte ołtarze
Podnosisz z jękiem świętokradzkie dłonie
I nie chcąc wiedzieć, za co cię Bóg karze,
Zapalasz stos błagalny, a gdy płonie,
Kadzidło sypiesz w ofiarne zarzewie,
Sądząc, że Bóg o zbrodniach twoich nie wie.

Ale wzrok Jego larwę kłamstw przewierca
I staje przed Nim w trądach dusza naga
I drżą zwierzęcą żądzą — trupie serca!
Więc gniewu tchem On dymy ognisk smaga,
Że nie wzbijają się w błękit wysoko,
Lecz w czarnych kłębach po ziemi się wloką.

Wieki przechodzą — tyś wiecznym łazarzem
I w coraz głębszy zsuwasz się grób nędzy;
Pod wciąż rosnących wad brzemieniem wrażeń
W otchłań zaguby lecisz coraz prędzej,
A sępy idą w trop — i twoje ścierwo,
Gdy ubezwładni się — w lot je rozerwą!

Bo ty masz żądła, strasznym jadem kolne,
Lecz tylko bratnie kaleczące łona,
Cios zadać wrogom-szatanom niezdolne!
Więc jeśli zginiesz, to ciebie pokona
Własny jad, w każdą krwi kropelkę wkłóty,
Własny jad — nie car, nie bagniet, nie knuty!

Hej, w górę dymy! Przed Boga obliczem
Niechaj zasłonią cię, rodzie Kaina!
Próżno! On gniewu wichrami jak biczem
Wonne tve słupy rozpędza i ścina;
Z ołtarzów, bratnią zbryzganych posoką,
Jak wąż po ziemi wiją się i wloką.

Bo i ty wężem pochlebstwa i trwogi
U nóg krwawego czołgasz się tyrana.
Ciało tve sieką hańbiące batogi,
A ty upadasz na twarz i kolana
Jak pies wzgardzony, bity, ale wierny,
Ale z okrzykiem: „Ojczy miłosierny!“

„Molochu, żadny niemowlęcej strawy!
„Otom ci dumę rozesłał pod stopy,
„Swój płaszcz królewski, dziś łachman plugawy,
„Choć tyś przed sądem niemy Europey
„Zasądził mię na śmierć w męczeństwie srogiem,
„Ja krwią i jękiem czczę cię: tyś mym Bogiem!“

A z za chmur patrzy oko Ojca świata,
Jak przed bałwanem pychy, głupstwa, zbrodni,
W jarzmie, co piętno zwierzęce wygniata,
Korzą się wolnych synowie wyrodni,
I jak o byt z dnia na dzień tłum padalczy
Nie gromem woli, lecz łąką skargi walczy.

Polsko! Tytanów matko ty — skażona!
Cała we wrzodach, co w ciało się wżarły,
Na świat wydajesz z jałowego łona
Coraz kalectwem potworniejsze karły,
I tak w potomstwie poniżona niskiem,
Pomstą być miałaś — jesteś pośmiewiskiem!

W twej własnej ziemi przy pochodni słońca
Wciąż świeże grzebie wróg męczeńskie groby;
I patrzeć będziesz bezradna do końca
Okiem bolesnej, potępionej Nioby,
Jak dzieci twe w uściskach śmierci bledną...
I nie zostanie ci z nich — ani jedno!

Bo nad twą głową z bałwochwalczych dymów
Czarna się chmura przekleństwa rozwiódła...
Krok jeszcze! Słowo zaparcia się wymów,
A padniesz martwa, skonem swoim podła,
Rażona gromem, skrzesanym z tej chmury,
Gdzie ukrył się Bóg, groźbą kar ponury.

Krok tylko! Czas przed tobą tak niedługi!
I droga hańby wśród szubienic sadów,
Po której godnie stąpasz wiek już drugi,
Od żer wietrzących rojna trupojadów.
Ty w przeszłość wzrok odwracasz bezrozumny
I idziesz ślepa tak — prosto do trumny!

Ach! a ty wierzysz w odrodzeń dzień bliski!
W słońca-by trzeba serca rozplomienić
I wyrwać karły twe z wygod kołyski
I cudem cudów w olbrzymy je zmienić,
Hartowne piersią, z cnót kowaną stali,
W której się wulkan poświęcenia pali —

I wszystką krew twą odrodzić zepsutą
I każdą kość we więzach zwyrodniałą
I każdą zbrodnię zetrzeć w proch pokutą
I ducha zgody tchnąć w rozpadłe ciało,
Abyś podniosła się z mar i z całunów
I katom w twarz plunęła — żgiem piorunów!

Byś zmartwychwstała większa niżli wprzód,
Jako Nemezis rozboju, rzemiosła,
Zmieniającego w bydło — wolne ludy.
A tem straszniejsza, że z trzech członów zrosła:
Każdy człon innym mieczem pomsty dzielny,
Bo je hartował mąk trójżar piekielny!

Byś upoiła krwią ciemiejczy-czarta
Serce, co każdą z krzywłd czuje, pamięta,
Jak lwica, zemsty wściekłością rozżarta,
Gdy jej wróg zdradą morduje szczenięta,
I w mózg mu wbiła szpon skrzywiony, tępy,
I póki drgałby, póty darła w strzępy!

Nie! W mrok zapadaj dalej i gnij dalej!
Rozkoszą marną — marny żywot skracaj,
Jeśli masz szaleć — to pijaństwem szalej,
Jeśli masz w grób pójść — to idź i nie wracaj!
Idź! ale nie mów, że dążysz we świty!
Przed tobą wieczna noc — twój dzień przeżyty!

Bez sił, bez woli, jako kawał drewna
W bagnie gnuśności nurzasz się, narodzie!
Przed tobą burza, piorunami gniewna,
Za tobą słońce żywota w zachodzie,
A ty butwiejąc w pleśni coraz rdzawsze,
Sądzisz, że wstaniesz, że żyć będziesz zawsze!

I tak wzgardzony i taki przekłety
Po morzu boskiej litości bezkarnie
Prowadzisz kruche nadziei okręty
W przystań, gdzie wabią wolności latarnie.
Lecz toń bez granic — nie łudź się nadzieją —
Nim ją przepłyniesz — okręty spróchnieją!



Nokturn.

W godzinę snów ja ducha podnoszę ku Tobie,
Stwórczo mój! — Ojczy mój!
Gdy wszystko milczy, leży w bezpamięci grobie,
Spowite w sen i w znój,
Ja wołam i chore otwieram Ci łono:
Cierpię, Panie!
Jak gwiazdy, co wschodzą, żeglują i toną
Po niebios Twych oceanie,
Tak przez duszy mej otchłanie
Płyną uczucia bez końca
Jak wielkie, ogniste słońca.
Cierpię! bo błękitną złudzeń mkną przestrzenia,
Cierpię! bo ich drogi mą krwią się czerwienią.
Zagaś je! Niech okrażą mię beczucia ciemnie,
Bo mi lepiej na świecie żyć wygasłym trupem,
Niż bólów tylu okupem
Bogiem być świetlistych światów,
Któreś Ty rozniecił we mnie.

Pamiętam... Był czas pieśni i woni i kwiatów
I wdzięczyła się właśnie mego życia wiosna.
Wokół mnie szumiały puszcza góry,
Pojąc myśl potęgi czarem.
Myślą rozkołysana chęć orlemi pióry
Niosła mię nad przepastnym, dzikim jarem,
Aż wybiegłem tam, w błękity,
Na te mgłą wieńczone szczyty,
Kędy tylko samotna weszła wieków sosna.
Spojrzałem... U stóp mych, jak u stóp kochanka
Kładła zorza, konając, omdlałe uśmiechy,
A bór, co do blizkiego zegnał się z nią ranka,
Wszystkie zaparł w mrocznej piersi swej oddechy
I stał w niemej wgrążony rozpaczy,
Jak nad zgliszczem swych zagród stoi lud prostaczy.
I zdało się, że zginął blask już bezpowrotnie,
Tak było martwo, ponuro koło mnie,
Tak było smutno ogromnie,
Samotnie!
Więc wzrok sierocy zawiesiłem w niebie...
Ojcie! ja chciałem przemówić do Ciebie,
Lecz słów mi brakło...
Wtem anioł wieczoru
Powionął lekkim skrzydłem przez zielone tłumy,
Rozbudził je z ich cichej, żalobnej zadumy
I poczęły chórem śpiewać listki boru
I poczęli nagle drzew kwilić pieśniarze
I szedł płacz coraz dalej, jak wichher wśród burzy.
Ta pieśń ze serca świata — to pieśń Twojej chwały,
To hymn miłości wzbijał się z tych wzgórz,
Co dymiały wonią jak święte ołtarze.
Prócz Ciebie jam wsłuchany był w te puszcze chorały.
I nastroił się duch mój
Na ten sam miłości strój,

Na ten sam nadziei ton,
Co ze wszystkich płynął stron.
Z piersią, którąś Ty jak w harfę żywą zmienił,
Te dwie na niej boskie rozpinając struny,
Zstąpiłem na niskie ziemskich trosk całuny,
Kędy się podłych niezgód bujny chwast zielenił.
I począłem pieśń swą szerzyć
I rozpraszać smutków cienie
I począłem silnie wierzyć,
Że niezgody chwast wyplenię,
Że zbuduję trzy ołtarze
Dla serc wielkich trzech narodów,
Gdzie rozprysną moc skojarzeń
I pośród odwiecznych nienawiści lodów
Rozpalę jak wulkany poświęceń ogniska.

*

*

*

W godzinę snów ja ducha podnoszę ku Tobie!
Ojczy! W pół przerwane milczą struny obie
I w żalu broczy myśl, rozpaczy blizka.
Otwieram łono... Cichą, czarną strugą
Ból się leje, wypełnia smutną życia czarę.
Już ostatnią kroplę rzucam na ofiarę,
Już widzę drogę jasną, a jak wieczność długą.
Skończę trud... żal utulę... pójdę gwiazd szlakami...

Nie masz litości, strącasz mię z tej drogi?
Boisz się, że ją drobna stopa moja splami,
Co krwią ociekła, deptając złości ludzkiej głogi?
Czy myślisz, choćbyś życie me przeciągnął w wieki,
Grom w usta, błyskawice włożył pod powieki,
Sądziś, żebym choć jedną wstrzymał bliźnią duszę,

Spadającą po ślizkim samolubstwa stoku
W otchłań, dla niej zakrytą, widną memu oku?
Sądzisz, że gdy niedoli jedną łzę osuszę,
Gwiazdę szczęścia o iskier parę gdy pomnożę,
Że wyschnie, lub się zmniejszy ziemskich nieszczęść
[morze,
Co wciąż rośnie, wciąż nową szumi jęków falą?

Słyszę wyrok, choć ucho słów żadnych nie słyszy.
Milczy błękit, śpi ziemia na ramionach ciszy.
Tylko się w mojem łonie nowe słońca palą,
Tylko z dna mojej duszy nowa pieśń wybucha,
Szalejąca uczuciem jak wichrem zawieja,
Pieśń, w którą się cały naród mój zasłucha,
Bo ojcem jej smutek — a matką nadzieja.



**INSTYTUT
BADAŃ LITERACKICH PAN**
Biblioteka
ul. ... wy Świ. i Nr 72
0 - ... W. ... szowa
Tel. 26-68 53, 26-52-31 w. 42



F
793